

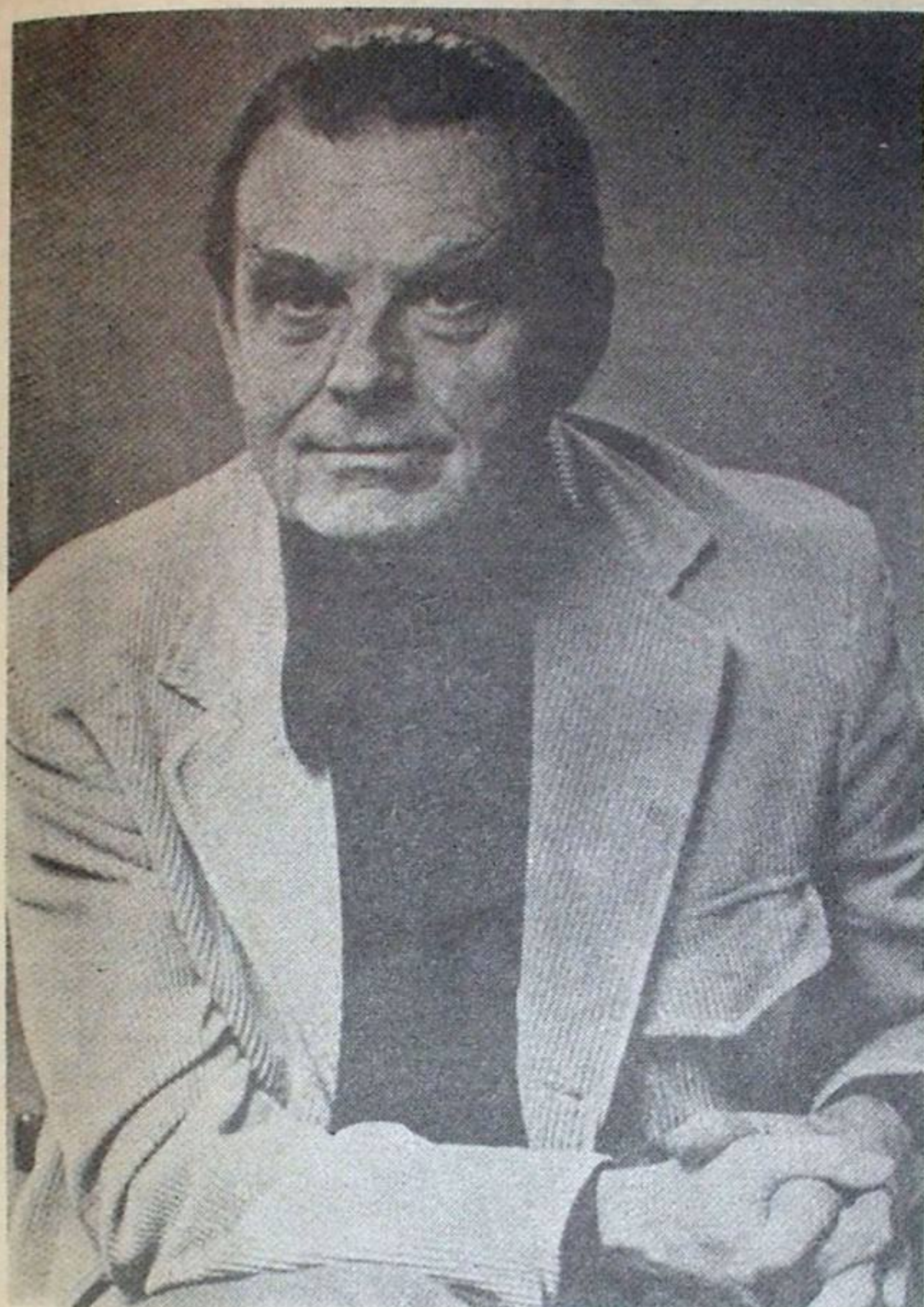
# Kammena

LUBLIN 7.VI.1981 NR 12 (732)

DWUTYGODNIK SPOLECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7103

CENA 3 ZŁ



W dniach 10—12 czerwca br. gościmy w Lublinie Czesława Miłosza z okazji nadania mu tytułu doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Repr. Waldemar Stępień

## O skutkach nauk przyrodniczych

Czesław Miłosz

NIE MA nic takiego jak „ja i Natura”. Strój, jaki noszę, wygodnienia techniczne, jakimi się posługuję, sprawdzone i niesprawdzone hipotezy naukowe, jakich mnie nauczono, nie są moje, ale mojego stulecia i najwyżej wkłada się indywidualny odcień w takie czy inne ułożenie danych, gotowych elementów. Chciałbym zawierzyć pięciu zmysłom, spotkać się nago z nagością, ale pomiędzy mną i tym, co widzę, czego dotykam, wznosi się szyba: moja myśl o Naturze narzuca mi przez tzw. stan wiedzy i lekcje biologii.

Wszeczmoc i majestat Boga rozpoznawalne w kielkowaniu, kwitnieniu, owocowaniu, w cudownym wyposażeniu ziemi, gdzie rośliny i zwierzęta dane są na użytek człowieka; później: niezgłębiony rozum Wielkiego Zegarmistrza, zdolny przewidzieć, jak będzie funkcjonować każda z biliona bilionów śrubek wielkiego mechanizmu; później: skłaniająca się do trwożnego szacunku wieczna przemysłowość i wynalazczość Matki Natury — znam te etapy postępującej sekularyzacji, wysiłki, żeby przyczyny najpierw rezydujące w „nad” przenieść „w”, przez co, niestety, *mysterium* nie stało się nic a nic mniej *tremendum*. Ale to nie mój temat i nie mój ton — każde „dzisiaj” ludzkiej myśli ma swoją tonację, gdyby było inaczej, nie byłibyśmy w niewoli stylów, wpadalibyśmy na pomysły genialnie proste, zamiast wikłać się w języku naszych nauk i sztuk, w przez nas samych hodowanej dżungli. A nadaje teraz ton, przesądza o stylu, co innego niż medytacja nad Najwyższą Inteligencją: jest to obraz samoczynnego, ustawicznego Ruchu.

Jeżeli nie wzniesiono świątyni na cześć teorii ewolucji, to zapewne z tego samego powodu, dla którego w średniowieczu nie wznoszono świątyni na cześć nieśmiertelności duszy: nie wielbi się prawd oczywistych, jak dwa razy dwa cztery, a kościoły, podobnie jak później laboratoria, oznaczały tylko logiczne następstwo pierwszej, przyjętej przez wszystkich, przesłanki. Niech kto spróbuje teraz obalić w sobie autorytet nauki i powiedzieć: „nieprawdą jest, że życie powstało w morzu i że jednokomórkowe organizmy są pra-przodkami ryb, płazów, ptaków, ssaków, że odbywał się jakikolwiek rozwój od form mniej złożonych do bardziej złożonych, jakkolwiek przemiana i stopniowe powstawanie gatunków; lchtiozaury i pterodaktyle nigdy nie istniały, natomiast skamieliny kości zaginionych zwierząt, służące do rekonstrukcji ich wyglądu, zostały tu i ówdzie rozsiane jako figiel Boga, żeby wprowadzać nas w błąd i dalej karać za zerwanie jabłka z Drzewa Wiadomości; nigdy też nie istniał antropoid, przyczyniający tylu kłopotów teologom, skoro nie pozwala ustalić, gdzie kończy się zwierzę i gdzie zaczyna się człowiek; ziemia została stworzona od razu z jej zabytkami i ruinami, niby ów park arystokraty osiemnastego wieku z ułamkiem rzekomo greckiej kolumny na zakręcie alei”.

Ruch: galaktyk, atomów, części atomu, wybuchy, przemieszczenia, przemiany. Odruch gniewu, urażonej godności, kiedy dowiedziano się, że człowiek też należy do łańcucha powszechnych przemian, czyli „od małpy po-

Dokończenie na str. 7

## Elekcja

Waldemar Piasecki

DEMOKRACJA przyszła na uczelnie z Warszawy. Pod koniec października Senat Uniwersytetu Warszawskiego wybrał rektorem prof. Henryka Samsonowicza. Kolejnym krokiem były wybory w Politechnice Warszawskiej, gdzie wybierał już nie Senat, ale elektorzy całej społeczności uczelnianej (40 procent samodzielnych pracowników nauki, trzydzieści spośród pozostałej kadry, 25 proc. studentów i pięć — administracji).

Jest niedziela, 17 maja, późne popołudnie. Siedzimy w pokoju nr 318 Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS. P. aktor-elekt prof. Tadeusz Baszyński nalewa kawę do kamionkowych filiżanek.

— Nie spodziewałem się, że pójdzie tak łatwo. Myślałem, że rozstrzygnie trzecie głosowanie. Czy

Dokończenie na str. 4

## PRZED NADZWYCZAJNYM ...

### Świat zmieniają niepokorni

#### Rozmowa z I sekretarzem KU PZPR w UMCS doc. dr hab. Ziemowitem Jackiem Pietrasiem

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Nareszcie!

Ziemowit Jacek Pietras: — Samoход mi nawala, podczas deszczu woda zalewa instalację.

I.J.K.: — „Polonez”, „Lada”?

Z.J.P.: — „Fiat 126p”.

I.J.K.: — Zebym chociaż telefon...

Z.J.P.: — A jakim cudem, skoro nie mam w domu telefonu? Bo nie chcę mieć.

I.J.K.: — Oryginalny z pana człowiek.

Z.J.P.: — Raczej wygodny. Jestem wicedyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UMCS, kieruję Zakładem Stosunków Międzynarodowych, pełnię funkcję I sekretarza Komitetu Uczelnianego, więc chyba zrozumiałe, że chronię tę odrobinę prywatności, jaka mi pozostaje. Wtedy zresztą próbuję pracować naukowo.

I.J.K.: — Obowiązków, owszem, ma pan wiele. Ale proszę powiedzieć, tak z ręką na legitymacji, ile zarabia I sekretarz?

Z.J.P.: — Nie, to jest funkcja społeczna, to w Komitecie Uczelnianym poprzedniej kadencji dwóch sekretarzy było na etatach.

I.J.K.: — Od kiedy należą pan do partii?

Z.J.P.: — Od początku 1968 roku.

I.J.K.: — Docenturę też pan otrzymał w tym samym roku?

Z.J.P.: — Otrzymał?! Co to za pytanie?! Zawsze byłem przeciwnikiem mianowania docentów. Habilitowałem się w 1978 roku, aby sześć miesięcy później zostać docentem.

I.J.K.: — O ile wiem, materiały do rozprawy habilitacyjnej zbierał pan m.in. w USA.

Z.J.P.: — Istotnie, w Stanach Zjednoczonych przebywałem dwukrotnie, m.in. na rocznym sty-

Dokończenie na str. 8—9



## Zgon Prymasa

28 maja 1981 roku o godzinie 4.40 zmarł w wieku 79 lat Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 31 maja w Warszawie.

W depeście wystosowanej na ręce kardynała Franciszka Macharskiego, zastępcy przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, Stanisław Kania, Henryk Jabłoński, Wojciech Jaruzelski, Stefan Ignar, Edward Kowalczyk, Stanisław Gucwa pisał m.in.: „Odszedł wybitny kapłan i wielki patriota. Jego postawa nacechowana była zrozumieniem procesów historycznych i obywatelską odpowiedzialnością męża stanu za pomyślność ojczyzny. Tworzył to wielki autorytet moralny, jakim cieszył się zmarły Prymas w społeczeństwie polskim...”

Ignacy Krasicki w „Trybunie Ludu” napisał m. in.: „Wy-padki roku 1980 i polski Sierpień ujawniły raz jeszcze patriotyzm i obywatelski rozsądek Zmarłego. Choć Jego podpis nie widnieje pod tekstem porozumień z Wybrzeża i Jastrzębia, to niewątpliwie historia uzna Go za jednego z architektów owej umowy społecznej. Ewolucja poglądów i postaw Zmarłego doprowadziła Go do uświadomienia głębokiego związku między kontynuacją silnej, rzeczywiście niepodległej, państwowości Polski a jej współczesnym ustrojem”.



(CAF — D. Kwiatkowski)

## z notatnika

26.V. Przeglądam dane dotyczące naszej gospodarki. Nie można powiedzieć, aby budziły one optymizm.

W porównaniu z pierwszymi czterema miesiącami ub. r. przeciętne zatrudnienie w przemyśle woj. lubelskiego wzrosło o 1,4 proc., osobowy fundusz płac o 28,9 proc., przeciętna płaca o 27,4 proc. (w kraju — o 23,6 proc.), a wydajność pracy spadła o 3,8 proc. Spadek produkcji sprzedanej wyraża się liczbą 3,4 proc.

W rolnictwie skup żywności rzeźnego zmniejszył się o 25,1 proc., a skup ziemniaków aż o 72,3 proc. Skup mleka — o 21,8 proc., a jaj — o 13,1 proc. Dostawy cementu na zapotrzebowanie rynku spadły o 51,7 proc., zapasy węgla kamiennego obniżyły się o 39,5 proc.

Aż dziw, gdy patrzymy na puste półki w sklepach, że sprzedaż w uśrednionym handlu detalicznym podniosła się o 9,1 proc., a w uśrednionej gastronomii — o 16,1 proc. Czyżby wpłynęła na to podwyżka ceny napojów alkoholowych?

27.V. Apelował prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stefan Bratkowski o zaniechanie ulicznych pochodów w obronę osób „wziętych za przekonania polityczne” (przekonania, czy działalnosc?). Bratkowskiego poparli Karol Małcużyński, Jacek Kalabiński i Daniel Passent (24 maja w III programie Polskiego Radia). Pochody studenckie jednak w wielu miastach się odbyły i, na szczęście przebiegały spokojnie. Nie o to mi jednak chodzi. Zdziwił mnie transparent, niesiony przez uczestników marszu we Wrocławiu, który głosił: „Telewizja kłamie”. Można było krytykować telewizję kilka miesięcy temu, ale krytykować ją teraz?

Wczoraj np. wystąpił przed kamerami TV działacz branżowego związku zawodowego budowlanych, Albin Siwak, znajdując się sam jeden pod ostrzałem działaczy mazowieckiej „Solidarności”. Dwa bytych podwładnych Siwaka oświadczyli, że za wiedzą brygadysty robili w godzinach pracy różne fuchy, prywatne fuchy, biorąc pieniądze z dwóch źródeł — i z firmy i od prywatniarzy. Siwak w odpowiedzi na to stwierdził, że pod jego adresem padły już różne oszczerstwa. Jednak fakt, że młodzi ludzie publicznie, przed całą Polską, przyznali się do kantu i że ten kant nie został potępiony przez działaczy „Solidarności” daje wiele do myślenia. Atakuje się Siwaka za jego poglądy polityczne, za to, że ma on czelność zarzucać „Solidarności” związki z KOR-em. Ale nie atakuje się za to, że on ewentualnie mógł tolerować równoczesne pobieranie przez ludzi forsy od firmy i osób prywatnych. Czyżby to było zjawisko tak codzienne, że nie warto nad nim dyskutować? Może b. pracownicy brygady Siwaka gotowi byli nawet publicznie skłamać, byle tylko zdyskwalifikować swego dawnego przełożonego? A może dawny przełożony miał rzeczywiście za miękkie serce? Audycja nie dała odpowiedzi na te pytania, chociaż każdego spośród nas zmusiła do myślenia. Wejrzalbym w sprawę bliżej, choć robotnicy oskarżający Siwaka i tak pozostają winni: albo pobierali pieniądze z dwóch źródeł, albo kłamali przed kamerami TV. Tertium non datur! (Poprzednim razem pomyliłem się i napisałem datum, na co słusznie zwrócił mi w redakcji uwagę nasz łacinnik, Waldek Stepien, i później jeden z sympatycznych czytelników — w liście. Nie można polegać na własnej pamięci, zwłaszcza, że łącznie wyniosło się tyle lat temu z ławy szkolnej...). Kłamstwo wspomnianych osób nie może jednak rzutować na TV!

28.V. Na festiwalu w Cannes „Złota Palma”, otrzymał film Andrzeja Wajdy — „Człowiek z żelaza”.

Krytyk „Le Matin” stwierdza, że „Człowiek z żelaza” jest wydarzeniem w historii filmu, albowiem wydaje się, że po raz pierwszy fikcja filmowa została tak po mistrzowsku połączona z wydarzeniami najświeższej daty”.

Nie widziałem filmu (i długo nie zobaczę, bo produkcja kopii potrwa chyba niewiele krócej niż produkcja samego filmu), niemniej zastanowił mnie głos Petera Renyi'a, który na łamach węgierskiego dziennika „Nepszabadsag” przypuścił ostry atak na dzieło Wajdy. Węgry z dużą wstrząśniętością obserwują wydarzenia w naszym kraju, niejednokrotnie popierali nasz proces odnowy, toteż wypowiedź Renyi'a jest tym bardziej znamieną. Tak więc zdaniem węgierskiego krytyka „Człowiek z żelaza” jest raczej zaprzeczeniem „Człowieka z marmuru”. W „Człowieku z marmuru” Wajda z niezwykłym wyczuciem problemu, dialektycznie, wyjątkowo dokładnie odkrył sprzeczności, ukazał paradoksalne sytuacje życia w okresie, w którym jednocześnie zachodził niespotykany i pozytywny zwrot historyczny, zwycięstwo socjalizmu i miały miejsce wszystkie te kolidujące z socjalizmem zjawiska, które wynikały z sekciarstwa i dogmatyzmu.

Renyi przypomina, że w poprzednim filmie losy Birkuta zostały odkryte przez młodą reporterkę telewizyjną i akcja obrazu zakończyła się na odnalezieniu przez nią jego syna, od którego dowiedziała się, że Birkut zginął w czasie buntu gdańskiego w 1970 r. I tu właśnie zaczyna się nie historia nowego filmu, którego akcja rozgrywa się w 1980 roku. Film często nawiązuje do wydarzeń z 1968, 1970 i 1975 r. z tym tylko, że ma całkowicie inne, zaskakujące spojrzenie. Nie ma więcej mowy o ludzkich sprzecznościach, skomplikowanych losach i złożonych sytuacjach. Wszystko jest jednoznaczne i jasne. Po jednej stronie stoją działający przedstawiciele władzy, będący bez wyjątku siepacznymi, agentami służby bezpieczeństwa, makiażystycznymi manipulacjami, którzy stosując szantaż i zastraszanie organizują szpicli ćwiczących całe dni na manekinach bicie robotników, rozpuszczających brudne oszczerstwa o organizatorach strajków itp., itd. Z drugiej zaś strony kontynuuje Renyi — znajdują się organizatorzy strajków z 1980 r. i lat poprzednich — wszyscy legendarni bohaterowie, którzy w swych porywach i całym zewnętrznym wyglądem upodabniają się do takich, jakich prezentowało się w okresie schematyzmu, do herosów ruchu robotniczego, szlachetnych zapalczków idei, apostołów skłonnych do samopowzięcia się.

Renyi czyni wreszcie uwagę, że gdyby wmontować w końcowe fragmenty filmu scenę pokazującą, powiedzmy, puste półki w warszawskich sklepach, jedyną scenę, która pozwalałaby odczuć obecne napięcie, cała logika filmu obróciłaby się o 180 stopni...

Zanim obejrzę film, z zainteresowaniem będę śledził wypowiedzi polskich krytyków na jego temat. Ponieważ nasza prasa wyraża dziś różne opinie, często przeciwstawne, nie sądzę, aby ocena była jednoznaczna...

31.V. W „Kulturze” Aleksander Bocheński drukuje interesujący artykuł pt. „Polacy i Związek Radziecki — Surowa lekcja wychowania obywatelskiego”. Autor stwierdza, że na skutek III rozbioru, a

potem utworzenia Królestwa Polskiego pod berłem carów od 1815 roku, powstała nowa sytuacja geopolityczna w Europie. „Otóż zaistniała granica prusko-rosyjska i oddzieliła każde państwo, zagrożone nadzwyczaj silną w stulecie 1850—1945 ekspansją niemiecką, szukać musiało w Rosji naturalnego i potężnego sprzymierzeńca. Tak uczyniły najpierw Francja i Anglia, wreszcie podczas II wojny światowej USA. Dla wszystkich tych krajów istnienie państwa granic niemiecko-rosyjską, uchylające groźbę Niemiec wobec Rosji i uchylające naturalne szukanie przez nią sojuszu na zachodzie, było niezmiernie groźnym osłabieniem ich wobec Niemiec. Rozumiał to świetnie Talleyrand i sformułował z właściwą sobie przenikliwością na Kongresie Wiedeńskim, kiedy dowiódł niezbicie, że istnienie Polski ma dla Europy Zachodniej tylko i wyłącznie wtedy sens, jeżeli Polska jest ściśle związana z Rosją. W każdym innym przypadku istnienie takiego kraju byłoby klęską, do której ani Francja, ani Anglia dopuścić nie mogą”. List Talleyranda nie został przełożony na nasz język. Historyków obowiązywało tabu, dogmat, jakoby celem ostatecznym każdej polityki polskiej musiała być walka z Rosją i szukanie przymiernia z mocarstw zachodnimi. Powstańcy z 1831 i 1863 r. uparcie szukali pomocy we Francji i w Anglii. Po co, skoro zwycięstwo powstańcy byłoby dla nich klęską? Jeśli Anglia i Francja podniecały nadzieje powstańców, to tylko po to, aby wytargować cokolwiek od imperium rosyjskiego na innych od-cinkach, np. na Bliskim Wschodzie...

„W wyniku I wojny światowej powstała Polska niepodległa, znowu, jak w XVIII wieku, dzieląca teraz tzw. korytarzem Niemcy na dwie części. Jednocześnie Traktatem Ryskim posiadliśmy ziemię dawniej Rzeczypospolitej, zamieszkałą w dużej mierze przez ludność ukraińską, białoruską i litewską. W tej sytuacji było koniecznością najpełniej oczyścić związek się możliwie ścisłym sojuszem albo z Niemcami, albo z Rosją. Trudność tej, oczywiście, jak mówię, polityki polegała na pretensji Niemiec do Pomorza, a ludów Związku Radzieckiego do kresów wschodnich. Za sojusz trzeba było zapłacić jednym albo drugim. Wybraliśmy więc politykę niezadowolającą ani Związek Radziecki ani Niemiec, co musiało nieuchronnie doprowadzić do układu Ribbentrop — Molotow w 1939 roku”.

„Po II wojnie światowej — kontynuuje Bocheński — powstała sytuacja odznaczająca się trzema nowymi doniosłymi zjawiskami: Po pierwsze — układ jałtański podzielił Europę na strefy wpływów, pozostawiając Polskę w strefie Związku Radzieckiego.

Po drugie — wskutek układu polsko-radzieckiego ziemie na wschód od Bugu zostały przyłączone do radzieckiej republiki: litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej.

Po trzecie — Polska odzyskała dawne ziemie na zachodzie i północy.

Zjawisko pierwsze przywróciło układ, jaki Talleyrand w 1815 i wszyscy jego następcy zachodni uznawali za jedyny racjonalny: ścisły sojusz polsko-rosyjski, stwarzający na wschodniej granicy Niemiec blok potężny, zdolny przeciwstawić się ewentualnemu odrodzeniu się zapędów agresywnych tego narodu”.

Racjonalny układ Talleyranda o tyle się jeszcze pogłębił, że powstała NRD, należąca do tego samego, co my, Układu Warszawskiego.

Nie będę dalej streszczał poglądów Bocheńskiego. Artykuł warto przeczytać w całości i trochę nad nim pomyśleć. Szczególnie zachęcam do tego młodzież, z akademicką włącznie!

M. A. Jaworski

## NA EKSPANS

### Federacja królów niemalowanych

F RYDERYK Bastiat nie jest wysoko ceniony przez historię myśli ekonomicznej. Poglądy jego były, delikatnie mówiąc, konserwatywne. Ale jedno zdanie wypowiedziane przezeń na 100. rocznicę 130 lat temu może uczynić go nieśmiertelnym. Brzmiało: „Trzeba nauczyć się ujmować wszystkie sprawy z punktu widzenia konsumenta”. W czasach dominacji doktryny leseferystycznej i przeświadczenia, że konsument jest królem decydującym poprzez rynek o tym, co gospodarka wytwarza, miało to znaczenie Eureka.

Koncentracja produkcji powoduje dziś, że produkcja są coraz silniejsi. Coraz łatwiej narzucają konsumentom warunki wymiany. Próba obrony konsumentów było zakładanie przez nich spółdzielni, dzięki którym mogli częściowo uniezależnić się od rekinów rynku. Nie nastawione na maksymalizację zysku spółdzielnie spożywców oferowały towary nieco tańsze i surowo przestrzegały kupieckiej etyki. O wyższości leśnej spółdzielni nad oszustem Barnabą przekonywująco napisał Jan Brzechwa.

Ze spółdzielczości spożywców nie dzisiaj (poza nazwą) nie zostało. Podporządkowana centralnym rozdzielnikom, limitom, wskaźnikom, sztywno narzuconym cenom, dawno już przestała bronić konsumenta. Po rozdeleniu funkcji nabywcy i współwłaściciela firmy konsument przestał być „spółdzielni” potrzebny w dalszym dynamicznym rozwoju i wykonywaniu planów obrotu jajami czy powidłami.

Cieszy mnie, że red. Bratkowski wierzy w odrodzenie spółdzielczości. Nawet jeżeli to nastąpi — dzisiaj już nie wystarczy. Dolewanie wody do mleka i oszukiwanie na wadze nie jest największym zagrożeniem. Oszustwa wyrosły z epoki manufaktury. Dzisiaj do obrony konsumentów potrzebna jest organizacja równie silna, co twórcy i uzbrojona w niezgorszą technikę.

Nie jest to teza nowa. Karol Gide, autor podręcznika, który miał dwadzieścia wydań we Francji i kilka w Polsce (mowa o „Zasadach ekonomii społecznej”), pisał: „Konsument robi najlepiej, jeśli nie zadowolony się rolą króla malowanego. Musi energicznie bronić swoich interesów, które nakrywają się zresztą z najogólniejszymi interesami społeczeństwa. W tym celu musi użyć środka, którym posługują się producenci, mianowicie asocjacji”.

O utworzeniu takiej organizacji przemysłowano w środowisku ekonomicznym od dawna, szczególnie wśród pracowników Instytutu Handlu Wewnętrzznego, dziennikarzy i działaczy Komitetu Gospodarstwa Domowego. Ich staraniem (szczególnie: prof. T. Sztuckiego, A. Calkiewicza, A. Nalecz-Jawckiego i A. Kądzielskiej) udało się zgromadzić pięćdziesięciu zapalczków, którzy utworzyli Komitet Założycielski Federacji Konsumentów. W „Życiu Gospodarczym” ruszyła ofensywa prasowa, do której włączyły się inne gazety, w tym i „Kamena”. Dzięki temu nasi czytelnicy znają dalszą historię ruchu konsumenckiego. Na dzisiaj jest nas ponad cztery tysiące a stowarzyszenie po złożeniu 6 maja statutu i wniosku czeka na rejestrację.

Podstawowy zarzut, jaki wysuwany jest przeciw Federacji, brzmi: „Po co nam ta organizacja, skoro na rynku i tak nie ma. Od jej powstania towarów nie przybędzie, a powstanie maszyn biurokratyczna wymagająca etatów, lokali et cetera”. Argumentacja to przewrotnie odmienna od dotychczas stosowanej. Dawniej mówiono nam: „Po co wam to, przecież jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej, bo cel gospodarki stanowi maksymalne zaspokojenie potrzeb”. Argumentacja taka uniemożliwiała do 1966 r. rozwój polityki społecznej, do roku 1980 ruchu konsumenckiego. Będąc właścicielami środków produkcji (ergo: decydując o ich wykorzystaniu), byliśmy niczym królami Malowani.

Teraz sytuacja się odwróciła. Oponenti wołają: „Po co wam to, przecież jest tak źle, że nic nie pomoże. Przecież Federacja Konsumentów nie wyprodukuje samochodów, pralek, telewizorów, itd., a więc dalej ich nie będzie”. Jest to argumentacja odnosząca się do „wczorajszego” systemu funkcjonowania gospodarki, w której rzeczywistość nie tylko żadna federacja, ale i producenci byli w stanie wyprodukować brakujących dóbr. W systemie nowym, przedsiębiorstwa oceniane z osiągniętego dochodu, produkować poszukiwane towary będą musiały. Oczywiście, najpierw spróbują łatwych dróg osiągnięcia zysku: podmiem asortymentowych ukrytych podwyżek cen, sprzedaży związanej. Ale konsumenci nie będą już królami jedynie malowanymi, mając do obrony swoje asocjacje.



**MIROSLAW DERECKI:** — Pański film „Indeks”, który wchodzi właśnie na ekrany z czteroletnim opóźnieniem — bo tyle czasu przeleżał „na półkach” — nie a nie się jednak widocznie nie zestarzał, skoro zajął pierwsze miejsce w plebiscycie widzów tegorocznego lubelskiego Forum Filmowego „Człowiek—Praca—Twórczość”. „Indeks” był jednym z tych filmów reżyserów młodej generacji, które zapoczątkowały tzw. „kino moralnego niepokoju”. Uwaga się pana za twórcę tego określenia, które zrobiło taką karierę i wokół którego narosło tyle sprzecznych opinii i sądów. A tymczasem pan sam, w wywiadzie udzielonym niedawno „Informatorowi Forum”, wydaje się kwestionować adekwatność i precyzyjność tego terminu. Więc jak to właściwie jest?

**J. K.:** — Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: jeżeli mój film „Kung-fu” i filmy moich koleżanek i kolegów — Agnieszki Holland, Feliksa Falka, Krzysztofa Kieślowskiego — miały wiele recenzji „rozproszonych”, oceniających je w sposób o tyle o ile obiektywny, to gdy dochodziło do recenzji „zbiorecznych”, dotyczących całej grupy filmów, zaczęto najczęściej różnice stylistyczne i treściowe między tymi filmami, zmieniać słowa, tzn. określenia. No, ale w tym naszym krytyku filmowa przoduje. Na przykład konwencję realistyczną nazywa się kinem publicystycznym, nym czy też wręcz gazetowym. Wyciąga się i wyolbrzymia w recenzji najsłabsze punkty, najmniej udane sceny i one to mają „rzutować” na całą „szkolę”. Przodowali w tej me-

łoci. Byłem do tego wszystkiego zupełnie nie przygotowany, a musiałem z dnia na dzień podjąć jedną z najważniejszych w życiu decyzji, rozstrzygnąć się o kierunku. Jeden z takich obrazków: na początku czerwca zdawał się egzamin, staliśmy pod gabinetem profesora, miała właśnie wchodzić jedna z naszych koleżanek, bardzo zdolna i bardzo przez nas lubiana. I nagle podchodzi kolega, jej i nasz, wyrwa jej dziewczynie z ręki indeks i mówi: „Zydowo, co tu robisz, spierdaj do Izraela!” Wszystkich nas po prostu zamurowało! Jak to! Ja do tej pory nie myślałem nigdy, że u nas taka rzecz się może w ogóle zdarzyć! Że „marzec” jest spiskiem sjonistów czy imperialistów zachodnio-niemieckich — oczywiście można było przeczytać i to w gazetach. Ale nie wyobraża-

już taki... taki uspokojony, wyciszony, pewnie też przestraszony. Jeszcze wtedy balismy się trochę.

**M. D.:** — Spośród młodych filmowców pan najbardziej wyraźnie i najbardziej uparcie nawiązuje do wypadków 1968 r.

**J. K.:** — Ale zarazem tępię w sobie wspomnienia „przygodowe”, nie chcę w tym siedzieć: sam „marzec” to był w końcu w moim życiu jakiś „epizod romantyczny”. Ważne jest co innego, że od tamtych dni zaczęło się dziać wszystko to, co najbardziej boleśnie ujawniło się w Polsce w zeszłym roku w sierpniu: totalne zaktamianie, podwójna świadomość „emigracja wewnętrzna ogromnych rzesz ludzkich — „ja dla siebie i ja — na wynos”. Ze dla inteligencji nastąpiło odejście od sprawy najważniejszej: bycia sumieniem i umysłem narodu. Każdy krzątał się wokół swoich własnych spraw, każdy brał jakieś tam prace zlecane, coś tam sobie klecił; dając, łódkę. I żeby chociaż było za co się sprzedawać. Rok 1968 to jest także „zarejestrowanie” endecji w Polsce. Usankcjonowanie istnienia „partii” nacjonalistycznej. Początkowo ci ludzie grupowali się jeszcze w jakichś określonych kręgach czy instytucjach, później rozlało to się we wszystkie strony, a zwiędzone zostało „Grunwaldem”. W 1968 roku spotkałem koleżankę jeszcze ze szkoły powszechnej: „Wiesz — mówi — ja stąd wyjeżdżam”. Ona, oczywiście, wiedziała, że jest pochodzenia żydowskiego, ale była — zawsze przecież — Polką... Tak, oni wtedy dowiadywali się, że są Żydami. Po dwunastu latach zobaczyłem znowu tę koleżankę. Niedawno, zagranicą... I ona zaczęła mi opowiadać, jak sobie wówczas szukała ojczyzny. Jak obchodziła ambasady i nigdzie jej nie chcieli. Jest teraz jednym z liczących się doradców ekonomicznych Wspólnego Rynku. Jest ekspertem, którego opinie zasięgają wielkie koncerny przemysłowe. Żal — nie?!

Pan mówi o jakichś elementach „obsesyjnych” — i w „Indeksie”, i w „Kung-fu”. Tak, to przecież jest okres, jakiego nigdy nie zdołam wykreślić z życiorysu. Miałem wówczas dwadzieścia lat, i — powtarzam — składałem po raz drugi egzamin dojrzałości. Zupełnie inaczej przeżywa się Sierpień, kiedy ma się trzydzieści dwa lata i świadomość — że nie ja w tym uczestniczę, że ja mogę być tylko sprzymierzeńcem, dodatkiem. Dlatego przestrzegałem kolegów przed tanią fascynacją, przed przywdziewaniem kaoków czy waciaków. Bo przecież istotne jest, że inteligencja się dzisiaj odnalazła we właściwym miejscu i to jest zupełnie wystarczające. Bez przebiegania się, koledzy...

**M. D.:** — Mówi się o tym, jak bardzo wiele wasze pokolenie filmowców zawdzięcza Andrzejowi Wajdzie, że jest on taką „lokomotywą”, która miała się pociągnąć i natchnąć nowos polskie kino. Czy pan się zgadza z takim twierdzeniem?

**J. K.:** — Wajda jako „lokomotywa”? W sensie moralnym — tak. Natomiast w samym kręceniu filmów, to że się „jest z Wajdą”, czy też w zespole prowadzonym przez Wajdę, wcale nie pomagało. Dla urzędników była to wobec nas okoliczność raczej obciążająca. Stosowano przy tym bardzo różne formy „perswazji”. Na przykład taką: „Januszu! Po co ty chcesz robić filmy pod miastem, musisz być sobą...!”

**M. D.:** — Co z tego wynika?

**J. K.:** — Sobą potrafiłem i potrafię być i bez tamtych dobrych rad. Na jesieni ukazuje się mój kolejny film „Głosy”.

**M. D.:** — Kontynuacja poprzednich dwóch filmów?

**J. K.:** — Dla mnie na pewno będzie to kontynuacja poprzednich filmów. „Głosy” mają swoje związki z tamtymi filmami. Ale widzę tego pewnie tak nie odbierze i zresztą — nie musi. Co jeszcze panu powiedzieć? To jest film dla takich ludzi, którym nie pomoże ani „Solidarność” ani premier Jaruzelski. Film o tajemnicy. I w związku z tym nie więcej na jego temat nie można powiedzieć...

No, a we wrześniu zacznie zdjęcie do „Plomieni”. Według powieści Stanisława Brzozowskiego. Oczywiście, jeżeli z uwagi na fatalną sytuację w przemyśle filmowym — nie stanie wszystko, i nie zostanie zamknięte na klóde.

# Na „Indeksie”

## ROZMOWA Z JANUSZEM KIJOWSKIM

**JANUSZ KIJOWSKI:** — Wywiadu, o którym, pan wspomina, nie otrzymałem do autoryzacji; stąd mogły powstać pewne nieporozumienia. Ale problem istnieje. W tej chwili mówię może o nim bez emocji, na chłodno, chyba po raz pierwszy... „Kino moralnego niepokoju” to była nazwa, istotnie, wynikająca z braku precyzji, ale był to także termin poddawany bezustannie różnym manipulacjom. To prawda, użyłem po raz pierwszy określenia „kino moralnego niepokoju”, a rzecz miała się następująco: w 1978 r. w warszawskim dyskusyjnym klubie filmowym „Kwant” odbywał się przegląd filmowy, zorganizowany przez Koło Młodych SFP, pod nazwą: „Kino młodych, kino nieznanie”. Chodziło o to, żeby pokazać filmy robione przez moich kolegów, nieznanymi jeszcze reżyserów, rozproszone po różnych wytwórniach, żeby pokazać je w jakimś porządku i z jakąś myślą przewodnią. Chcieliśmy uzmysłowić publiczności i władzom, że — poza naszym filmowym establishmentem: Wajda, Zanussi, Kawalerowicz... — istnieje pokolenie, które nie: nie nie robi, jak się w owych czasach zwykło z lubością przy każdej okazji powtarzać, ale dobija się różnymi drogami swoich celów. Byłem wówczas przewodniczącym Koła Młodych i kiedy wynikała sprawa wydania folderu tej imprezy, mnie obarczono zadaniem napisania wstępu... Trzeba było znaleźć jakieś słowo-klucz, jakieś sformułowanie zastępcze, bo takie były wtedy czasy. Stąd — może niezbyt fortunne — określenie: „kino moralnego niepokoju”. Było niezbyt precyzyjne, ale jakoś emocjonalnie pasowało do charakteru, idei, atmosfery tamtej „Kwantowej” imprezy. Zresztą pierwsze filmy Bajona, Wiszniewskiego, Starzeckiego zasługiwały na takie określenie.

**M. D.:** — Pan pokazał wówczas w tym zestawie swój pierwszy film, nakręcony jeszcze w szkole filmowej „dokument”, zatytułowany „Z. K. Sieradz”. To znaczy — „Zakład Karny — Sieradz”. Pokazywał pan społeczność więzienną...

**J. K.:** — Powiem panu do końca, może się mylić, ale owo określenie „moralny niepokój” — najbardziej pasuje do Edzia Krawczyka, bohatera filmu, który odsiaduje w sieradzkim więzieniu dwudziestopięcioletni wyrok. Życie w niewoli wytworzyło u tego człowieka (wydaje się: paradoksalnie) właśnie ogromny ładunek jakiegoś moralnego niepokoju...

Potem w Gdańsku, w 1979 r. na Festiwalu Filmów Fabularnych, termin „kino moralnego niepokoju” przyłgał jakby do grupy młodych reżyserów „debiutujących wówczas filmami, które poruszały się w problematyce społecznej, kręcone były w konwencji realistycznej. Można by określić tamte filmy jako dokumenty, fotografie stanu głęboko posuniętej erozji moralnej z okresu „późnego Gierka”.

A później zaczęła się manipulacja samym terminem — wykreślenie go na wszystkie strony. Kiedy się bardzo chce, to można każdemu słowu nadać zupełnie inne znaczenie.

**M. D.:** — Jak to się przejawiało?

tożdzie panowie: Klaczyński, Dondziłło... Zaczęło też szukać jakiegoś przeciwstawienia dla tego niebezpiecznego określenia: „moralny niepokój”. I wymyślono termin: „kino kreacyjne”. Żeby można było teraz mówić, że my jesteśmy tacy „gazeciarze”, a na przykład Marczewski, Bajon, Wojciechowski to artyści. Już samo zestawienie tych trzech nazwisk traci absurdem. I oto tygodnik „Film” stanął na czele obrońców „wartości estetycznych” filmu polskiego, zagrożonych jakoby zalewem publicystyki, widmem „kina moralnego niepokoju”. Tak więc, jak pan widzi, moje określenie nie miało szczęścia. Bo wymyśliłem ów termin z nadzieją, że będzie on nas, młode środowisko filmowe, integrował, łączył — a było bardzo wielu ludzi, którzy chcieli, żeby ten termin nas podzielił. Wtedy też Poręba zaczął mówić o swoim „moralnym spokoju”. Krótko, bo potem przyszedł Gdańsk i oczywiście Poręba stanął na czele „odnowy”...

**M. D.:** — Nakręcony w 1977 r. „Indeks” był pańskim filmem dyplomowym; dopiero jednak w dwa lata później mógł się pan zaprezentować publiczności jako twórca „Kung-fu”. To już się objawiło w „Kung-fu”, ale dopiero teraz, po udostępnieniu nam „Indeksu”, można w pełni ocenić, jak bardzo istotne stały się dla pańskiej twórczości, i dla całego pańskiego pokolenia, wypadki marca 1968 r. Jak silnie odcisnęły się one w sercach i umysłach bohaterów pańskich filmów, w świadomości pewnej grupy wiekowej Polaków. Tomasz Burek, krytyk literacki, twierdzi że dla „pokolenia 1968” wstrząsem był nie tyle sam fakt „bicia studentów”, nie tyle istotny był fakt samej przemocy, co przede wszystkim język ówczesnych oficjalnych enuncjacji i wypowiedzi władz, sposób reakcji władzy na dziejące się wydarzenia, prostacka argumentacja w toczącym się dialogu (jeżeli w ogóle można mówić o jakimkolwiek dialogu), zwalanie całej „winny” na jakiegoś sjonistyczno-lewackiego ugrupowania, które miały jakoby zamiar sięgnąć wówczas po władzę i przy okazji tumaniały studentów. Czy zgodziłby się z takim poglądem pan, i bohaterowie pańskich filmów?

**J. K.:** — Bardzo to jest słuszne, co powiedział Burek.

**M. D.:** — Cłośem dla „pokolenia 68” był, według Burka, przede wszystkim kryzys wiary w pewne wartości, a raczej — w pewne hasła, z którymi to pokolenie — urodzone i wyrosłe już w Polsce Ludowej — dotychczas w sumie ufało się identyfikowało.

**J. K.:** — Dla bohatera „Indeksu”, Józefa Monety, i dla mnie także, w owym roku straszne było to, że coś się nam rozsypało w pył... Staram się patrzeć na 1968 rok z „zabitej perspektywy”, szeroko, nie z pozycji jakiegoś „marcowego kombatanca”. Więc powiem panu przede wszystkim, że „marzec” to była dla mnie, wówczas studenta drugiego roku historii Uniwersytetu Warszawskiego, jakby druga matura, jakby właściwy egzamin dojrza-

lem sobie, że można tak naprawdę myśleć!

Józef Moneta rzucił wtedy indeksem, opuszcza uczelnię, pracuje fizycznie,



Fot. W. Stępień

chce być sobą. Ja wtedy wyjechałem z kraju. Było to bardzo luksusową postawą. Kiedy wróciłem po dwóch latach, trafiliłem akurat na Grudzień 1970. Strzelano do robotników. Więc poleciałem na uczelnię, chciałem zorganizować wiec protestacyjny. Poszliśmy z kolegami do dziekana, mówimy: „Panie Heniu, trzeba coś zrobić”. „Chłopcy — powiada on — w naszym interesie to nie leży, ale jak chcecie — róbcie!”

**M. D.:** — Odbył się ten wiec?

**J. K.:** — Wiec się nie odbył. Jakos powoli tak się zaczęło pusto robić, koledzy zaczęli się zmywać do domu, mieli sprawy do załatwienia... To był już zupełnie inny Uniwersytet, zupełnie inna atmosfera niż przed dwoma laty. Między 1968 a 1970 rokiem coś się zaważyło, coś się pozmięniało w ludziach. Jakaś jakby pustka w głowach...

**M. D.:** — Bohater „Indeksu” wydaje się dzisiaj jakby zbyt agresywny, zbyt jakby nastawiony wobec innych i wobec nawet samego siebie.

**J. K.:** — Bo agresywność Monety jest jego jedyną szansą samoobrony. Sposobem na zachowanie siebie. W czasie, gdy boczy się akcja filmu, wszelkie próby negocjowania z rzeczywistością prowadziły do fiaska. Dzisiaj piszą już pierwsi recenzenci, że Józef Moneta taki niesympatyczny. A dla mnie — powtarzam — jedyną wtedy metodą było: nie uśmiechać się. Oczywiście, Moneta to jakiś symbol; postać, człowiek, jaki nie zainstniał naprawdę. Józef Moneta to człowiek, który budził się w nas na chwilę, na minutę — dwie przed zaśnięciem, mówił: „Postąpię tak i tak, powiem im całą prawdę, oddam indeks...!”. A rano otwierał człowiek oczy



# Elekcja

Dokończenie ze str. 1

myślałem o zwycięstwie? Tak. Kiedy zgodziłem się kandydować, 6 maja, na krótko przed zamknięciem listy kandydatów — po nich — liczyłem na wybór. Może to i nieskromne, ale myślę, że jak się już ktoś decyduje, to powinien wierzyć. Ja pewnie bym sam w siebie nie uwiarył, ale miałem tyle zachęty ze strony kolegów-naukowców, studentów i w ogóle całego środowiska akademickiego...

Rektor „tłumaczy się” z piątkowego sukcesu wyborczego. Dostał 155 głosów elektorskich, czyli 71,4 proc. Następni konkurenci, odpowiednio: 31, 26 i jeden głos. Rozkład jednoznaczny.

Podobnie jak w stolicy, uchwalając ordynację wyborczą, postanowiono doprowadzić do „przesłuchania” kandydatów.

18 maja, aula Wydziału Ekonomii UMCS, dochodzi 16.00. Na sali lokują się pierwsi elektorzy. Kwadrans po sześćnastej przewodniczący Senackiej Komisji d/s Wyborów wprowadza kandydatów. Najbliżej prowadzącego siada prof. Adamczyk. Dalej Kersten, Malarczyk, Szczypa. Na końcu Baszyński. Kersten wyjuje magnetofon kasetowy.

Pyta błądą najpierw organizację społeczną, od najmłodszych począwszy. Jest nią Niezależne Zrzeszenie Studentów. Potem NSZZ „Solidarność” i PZPR. Studenci z SZSP „odpuścili” imprezę. Ważniejsze okazały się — jak mówiono w kuluarach — rozgrywki personalne i tworzenie „nowego programu działania” niedawnego monopolisty studenckiej dobrowolnej masowości.

Pyta więc NZS: „Jak powinien być procentowy skład Senatu UMCS i ile powinno w nim być studentów?”

Bogdan Adamczyk:

— Myślę, że powinno w nim być 20—30 procent studentów...

Tadeusz Baszyński:

— Zgodnie z ustaleniami łódzkimi, studenci powinni stanowić 1/3 składu Senatu. Rzecz jednak nie w liczbach, a w zaangażowaniu. Statystyci nie są potrzebni...

Adam Kersten:

— Nie jest kwestia w składzie, a w porozumieniu. Uważam sytuację, w której trzeba by głosować (a tylko wówczas liczba może decydować) za ostateczność. Oczywiście jestem za ustaleniami z Łodzi...

Jan Malarczyk:

— Głosuję za ustaleniami liczebności poszczególnych grup w Senacie proporcjonalnie do roli i miejsca w życiu uczelni.

Jerzy Szczypa:

— Po trzydziści procent powinni uzyskać pracownicy samodzielnii, adiunkci i asystenci. Tyle samo studenci. Administracja — 10 procent.

„Solidarność” pyta o relacje rektora z ciałami samorządowymi uczelni.

Baszyński i Kersten wyraźnie podkreślają konieczność podległości rektora Senatowi i obowiązek rozliczania się przed nim.

Malarczyk w podobnym duchu. Widzi ponadto celowość powołania Samorządu Pracowniczego UMCS oraz Kolegium Rektorskiego, jako ciała wykonawczego.

Szczypa lansuje koncepcję, że szkoła wyższa jest również przedsiębiorstwem i dlatego potrzeba także predyspozycji menedżerskich, aby nią kierować. Popiera Kolegium Rektorskie i proponuje głosowania nad udzieleniem wotum zaufania w polowie kadencji rektorskiej.

Adamczyk opowiada się za największą dostępnością ciał przedstawicielskich dla pracowników i — jak mówi — „cieszy się, że może być w każdej chwili odwołany przez Senat”. W tym ostatnim ma się wyrażać gwarancja demokracji wewnętrznej uczelni.

Partia pyta o działania w kierunku poprawy struktury zatrudnienia kadry naukowej w Uniwersytecie oraz o jej przepływ, jako istotny czynnik podnoszenia poziomu i rozwoju.

Kersten krytykuje zbyt wolny rozwój młodej kadry naukowej, postawionej przez władze uczelni bez należytej opieki. Zwraca uwagę na niedostateczną liczbę profesorów i doktorów habilitowanych. Opowiada się za logicznym systemem rotacji kadry.

Malarczyk jest za większą selekcją młodych pracowników nauki.

Szczypa proponuje amerykański system stypendiów naukowych uzależnionych od postępów asystentów. Krytykuje rygory czasowe określające awanse naukowe („są tylko po to, by je omijać”).

Adamczyk nie wie, co zrobić z rotacją.

Baszyński twierdzi, że nie każdy doktor musi być adiunktem, ale każdy adiunkt musi być doktorem. Rotacja, jego zdaniem, jest absolutnie konieczna („jeśli nie będzie jej, to kiedyś tak się zdarzy, że cały zakład pójdzie na emeryturę i koniec!”).

Jest 17.00 i Kerstenowi kończy się kasetą w magnetofonie.

W tej części za najciekawsze wypadła uznać pytania o: 1) stosunki UMCS-KUL i ich ocenę; 2) prowincjonalność UMCS-u i 3) ocenę IX i X plenum KC. Pozostałe, niestety, nie są w stanie wykręsać z kandydatów finexji intelektualnej, ani podnieść temperatury na sali. Niektóre są wręcz infantylne.

Mówią o KUL-u:

— Muszę powiedzieć, że współpraca jest od dawna — rozpoczyna Malarczyk (a sala w śmiech). Nasi pracownicy korzystają z biblioteki KUL-owskiej... Prowadzimy u nich zajęcia, a oni u nas...

Szczypa:

— Jest współpraca. O ile wiem, Wojtyła recenzował kiedyś pracę doktorską na UMCS-ie. Obu wyszło to na dobre. I doktorantowi i recenzentowi (został papieżem).

Adamczyk:

— Współpraca jest i powinna się pogłębiać...

Baszyński:

— Są przykłady współpracy Instytutu Biologii z KUL-em. Nie sądzę, aby w dzisiejszych czasach mogły być jakiegokolwiek przeszkody w rozwijaniu współpracy.

Kersten:

— Współpraca układa się źle. Na szczeblu rektorów jej brak. Potrzebne jest starcie poglądów, bo tylko to gwarantuje postęp w nauce...

Ranga UMCS, czyli podejście do prowincjonalizmu.

Szczypa:

— UMCS nie jest prowincjonalny. To wszystko zależy od specjalności. Niektóre stoją lepiej, niektóre gorzej. Oczywiście widzę konieczność podniesienia rangi naukowej uczelni.

Tu profesor wymienił postulat wzrostu kadry średniej, samodzielnej i członków PAN. Proponował rozszerzyć wymiar naukowy w obrębie — również — kraju, poprawić wyposażenie aparaturowe, rozwijać małe zespoły badawcze, zreformować niektóre działy wydawnictwa uniwersyteckiego „Annales”.

Adamczyk stawiał na poprawę warunków rozwojowych, skoro — jak twierdził — nie stać uczelni na stworzenie własnych szkół, np. w matematyce, fizyce itd., czy też szkół poszczególnych profesorów.

— Jesteśmy uniwersytetem prowincjonalnym. To, czy się to zmieni, zależy tylko od nas — mówił Baszyński.

Kersten skrytykował działalność wydawnictwa UMCS, często zajmującego się drukowaniem nie prac naukowych, a innych druków o wątpliwej wartości (np. kalendarzy, ekslibrisów etc.). Podniesienie rangi naukowej widział właśnie w podniesieniu rangi wydawnictwa.

Malarczyk zwrócił uwagę, że liczy się nie to, gdzie uczelnia się znajduje („w końcu Oxford i Cambridge to też prowincja”), a co reprezentuje.

Różnie mówiono o zmianach w partii na przykładzie ostatnich posiedzeń plenarnych (IX i X) KC.

Adamczyk liczy na zjazd i pozytywnie mówił o roli „Sztandaru Ludu” w realizacji odnowy (co napotkało pewną wesołość zebranych).

— Jestem — w tym względzie — zawiedziony — skomentował Baszyński.

Kersten określił działalność PZPR do Sierpnia mianem BBWR (analogia do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem). Nie wierzył w możliwość jakiegokolwiek zmian w partii. Teraz jest pozytywnie zaskoczony, ale w odniesieniu do przyszłości trudno mu o optymizm.

Malarczyk usatysfakcjonowany był decyzją IX plenum o odbyciu zjazdu, ale rozczarowany brakiem określonej jego perspektywy czasowej. Na X plenum usatysfakcjonowała go data zjazdu, ale rozczarowało niedopuszczenie do obrad przedstawicieli struktur poziomych. Za pozytyw uznał powołanie komisji „rozliczeniowej”. Wyraził też nadzieję, że IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR będzie historyczny.

Szczypa zwrócił uwagę na wielkie zaangażowanie szeregowych członków partii, brak przepływu informacji z partyjnej góry na dół.

— PZPR jest owszem robotniczą i zjednoczoną, ale w dołach nie w górę — mówił. — Termin zjazdu jest nieporozumieniem, bo ustalono go na okres urlopowy. No, ale nie ja tam będę (ogólna wesołość sali). Do X plenum podchodzę bez euforii. Może XI coś zrobi...

W przerwie tej odstony poprosił dwunastu uczestników-słuchaczy o ocenę punktową kandydatów do fotela na XIV piętrze budynku przy ul. Nowotki (przy jakiejś okazji rektor Skrzydło powiedział: „siedzę najwyższej ze wszystkich polskich rektorów”). Każdy miał po 10 punktów. Wyszło z podliczenia: Kersten 7,2 pkt., Baszyński 6,3 pkt., Szczypa — sześć, Adamczyk 5,8 i Malarczyk — pięć i pół.

Po przerwie i zadaniu kolejnego pytania Kersten poprosił o 5 minut czasu na wypowiedź. Zanosilo się na sensację, nikt jednak nie wiedział jak ją.

— Proszę o wykreślenie mnie z listy kandydatów. Decyzja moja jest nieodwołalna — rozpoczął. — Zgodziłem się kandydować pod wpływem namów studentów i grona profesorskiego. Byłem namawiany już od października ubiegłego roku. Zgodziłem się kandydować 6 maja o godzinie 11.15, kiedy na liście kandydatów nie figurowało jeszcze nazwisko profesora Tadeusza Baszyńskiego. Gdybym wiedział o zamiarze jego zgłoszenia, z całą pewnością nie zgodziłbym się. Jest on tak wielkim autorytetem moralnym, iż nie czuję się powołany do występowania przeciwko niemu. Nie nadaję się na rektora również z powodów charakterologicznych. Nie jestem dyplomata, a rektor w obecnych czasach będzie musiał się umieć układać; ja tego nie potrafię. Jestem człowiekiem wolnym. Chciałbym zapewnić wolność również wam wszystkim. Będąc rektorem, prawdopodobnie mógłbym to zrobić tylko w odniesieniu do siebie. Serdecznie i gorąco przepraszam. Dziękuję za okazane mi zaufanie.

Była godzina 18.30 i był to w zasadzie koniec spotkania, aczkolwiek pytania zadawano jeszcze do 20.00.

Dla udokumentowania warto zapoznać się z odpowiedziami na pytanie: „Jak zamierza pan realizować, jako rektor, zasadę kierowniczej roli partii w pracy UMCS?”

Adamczyk: — Dawniej i sekretarz Komitetu Uczelnianego był wyznaczany gdzie indziej. Teraz mamy autentyczny KU. Lepiej się pracuje z ludźmi wybranymi. Po PZPR na uczelni mogą się spodziewać tylko pomocy.

Baszyński: — Jeśli będzie tak, jak jest obecnie, to wypadła nie tylko czystość. Jeśli by miało być tak, jak poprzednio, nigdy nie odważyłbym się kandydować.

Malarczyk: — Nie telefon od sekretarza, nie dyktat powinien decydować. Wpływ partii powinien się odbywać tylko przez jej członków w Senacie uczelni.

Szczypa: — Przy założeniu, że w partii są najlepsi, nie widzę powodu, by rola PZPR nie miała być kierownicza. W pełni popieram stanowisko profesora Baszyńskiego.

„Stopnie” po zakończeniu: Baszyński 6,5; Szczypa 5,7; Malarczyk 5,3; Adamczyk — 4,1 pkt.

12 maja, w sali Senatu UMCS rozpoczęło się drugie „pytanie” kandydatów. Tak się złożyło, że było ono daleko ciekawsze niż niedzielne.

Da się wyodrębnić dwa nurty: 1) dotyczący spraw uczelni, 2) dotyczący spraw ogólnych ze szczególnym akcentem na odnowę.

Ostro atakowano politykę ustępującego gabinetu rektorskiego w stosunku do studiów zaocznych oraz organizacji filii i punktów konsultacyjnych, jako exemplum tej polityki. Interesowano się, czy pracownicy Wydziału Prawa i Administracji jeżdżili na zajęcia do Radomia (odbywające się w salach lekcyjnych KWMO) służbowym transportem radomskiej milicji (w tym helikopterem). Wątpliwości rozwiewał, choć na pewno nie do końca, dziekan wydziału prof. Jan Malarczyk.

Pytano o samopoczucie pracowników Wydziału Prawa w kontekście tego, co się działo w Polsce w ostatniej dekadzie. O ich współodpowiedzialność za sytuację. O dyspozycyjność wobec władz.

Padły pytania o stosunek kandydatów do działalności Zespołu Tańca Ludowego (na ogół bez entuzjazmu), Centrum Polonijnego (postulat większej jawności działań), Rady Społecznej UMCS (więcej autentycznych Przyjaciół, a mniej decydentów). Interesowano się przebiegiem i efektami (!?) współpracy Uniwersytetu z Lock Haven State College (USA). Tu wypowiadano się raczej za utrzymaniem kontaktu, ale jednocześnie większą kontrolę tego, co się dzieje z efektami wymiany.

Pytano o ocenę działalności KSS KOR w tzw. minionym okresie i jego rolę w przemianach społecznych ostatniego lata. Odpowiedzi szły w kierunku wyjaśnienia społeczeństwu działalności tej organizacji, bowiem wszelkie niedomówienia w tej materii są szkodliwe i niepotrzebne. Na ogół kandydaci na rektora dostrzegali również pozytyw w funkcjonowaniu tej organizacji. Podobnie oceniano wydawnictwa ukazujące się poza cenzurą. Zdecydowanie pozytywnie mówili o strukturach poziomych w praktyce organizacyjnej „Solidarności” i ostatnio PZPR.

Wyrazili (odpowiadając na pytanie) uznanie dla działalności KU PZPR i zgłosili uwagi do pracy Komitetu Wojewódzkiego, który w kontekście porównania z Instancją uczelnianą nie wypadł najlepiej.

Pytania powyższe nie ujawniły specjalnej różnicy zdań między kandydatami.

Pozostawało czekać do piątku. Obok pytań informację o kandydatach uzupełnili sami zainteresowani. „Wydalo się”, że Szczypa budował Nową Hutę w IV Brygadzie SP, a Adamczyk jest... niesforny.

15 maja, w piątek o 9.20 rozpoczęła się ostateczna rozgrywka o fotel.

Wybory odbyły się sprawnie. O 11.40 prof. Józef Szymański przewodniczący komisji skrutacyjnej powiedział: MAMY REKTORA!

Głosowało 217 (na 220) elektorów. Oddano jeden głos nieważny. Kolejność: prof. Tadeusz Baszyński (155), prof. Jerzy Szczypa (31), prof. Jan Malarczyk (26), prof. Bogdan Adamczyk (1).

Kurtuazyjne mowy, kurtuazyjne kwiaty.

Aby zakończyć całość wyborów, prof. Baszyński poprosił o dokonanie wyboru prorektorów jeszcze tego dnia. O 14.10 rektor-elekt zaprosił swoje kandydaty na trzy spośród czterech stanowisk. Do elekcji nie doszło po publicznym okazaniu niezadowolenia przez jednego z kandydatów, którego (pech chciał) rektor zaprosił na inną, niżby sobie tamten życzył, „działkę”.

Odłożono imprezę o tydzień.

Stygnie profesorska kawa.

— Wie pan, mam program obliczony nie na wielkie rzeczy, sukcesy propagandowe itd. Ja bym chciał postawić na moralną odnowę Uczelni, jej pracowników i w ogóle całego środowiska.

— Tylko, że tego nie wykaże pan w żadnym sprawozdaniu. Nie pokaże tego również telewizja w swoim dzienniku.

— Na tym mi nie zależy. Chciałbym pozostać w pamięci jako uczciwy człowiek. To wszystko.

Rektora czekają rozmowy z kandydatami na prorektorów. Prowadzi je sam. Nacisków i „doradców” nie zabraknie. O to nie ma się co martwić.

W rezultacie elekcji z 22 maja prorektorami zostali: doc. dr Bohdan Dziemidok — ds. ogólnorganizacyjnych; prof. dr Eugeniusz Gąsior — ds. badań naukowych; doc. dr Wanda Brzyska — ds. studenckich; doc. dr Mieczysław Żolnierczuk — ds. filii UMCS w Rzeszowie.

Waldemar Piasecki



**P**ANSTWO z miasta widziecie na wsi folklor. Podglądacie i zartujecie sobie z nas — powiedział nauczyciel spod Opoli. — Do niedawna myślałem jak państwo. Wolalem wieś oglądać, niż być ze wsi. Aż palnąłem się w ten głupi łeb. Co to, ja gorszy? W czym ja gorszy? Wystarczy pojechać do Wandalin, żeby zobaczyć, że „Solidarność” jakoś lubi tereny, gdzie mocny był ruch ludowy. A co to było ten ruch ludowy? To był zdrowiusieńki korzeń wiejskiej świadomości. Tylko z wierzchu, dla niepoznaki, umajony propagandą. Ale chłopcy też nie głupie: swoje wiedzieli.

Wandalin jest wsią, która przyprawia mieszczucha o skurecz zazdrości. Z jednej strony drogi — sennie domy w ogródkach, z drugiej — łagodnie układają się sady. Solisowie mieszkają w połowie wsi. Ich znak rozpoznawczy to duży zielony balkon.

Zycie Solisów koncentruje się w kuchni urządzonej wygodnie i po miejsku. Gaz z butli, woda z kranu, telefon na korbkę i stosy biuletynów wiejskiej „Solidarności” do rozprawiania wśród sąsiadów. Stefan Solis odzywa się z kozetki:

— Chyba na każdej wsi jest przywódca, który szerzej myśli. U nas Chomeinim jest mój wuj. Kalinowski Tadeusz się nazywa.

Czekamy na wuję, rozmawiając o przednówek, którego wieś już nie pamięta.

— Przednówek to będzie w mieście — mówi Solisowa.

— U nas tylko z paszami i środkami ochrony roślin będzie przednówek — po namyśle dodaje mąż. — I z częściami zamiennymi też.

— Dzieciom trzeba już tłumaczyć, co to jest przednówek — znowu mówi żona. — Ale u nas jest jednak przednówek, polityczny.

Wuj okazuje się człowiekiem postawnym, zażywnym i z andersowską prehistorią. Siada na krześle jak do przedwojennej fotografii.

— Myśmy byli w tym szczęśliwym położeniu, że nas nie można było zdegradować — zaczyna. — Ostawaliśmy się po każdej odnowie. Chociaż ostatnio wyglądało już, że rolnictwo indywidualne będzie bez ratunku. Najbardziej przewrotnie potraktowano nas rentami. Nie zorientowaliśmy się wcale, że chodzi o to, żeby oddawać ziemię państwu, a nie dzieciom. Bo jak państwu — to siedem tysięcy renty bym miał, a jak synowi, to trzy. Mam czterysta tysięcy rocznego dochodu, więc tak by wyglądało.

Wuj Kalinowski poprawia się w krześle. — My nie rozbudziliśmy się dopiero po lipcu — ciągnie — tylko po Gomułce. Wieś postanowiła zorganizować się w ZSL. A w ZSL było tak: ty do banku, ty do mleczarni, ty do spółdzielni — i cała gmina opanowana. Sto trzech członków na sto pięćdziesiąt gospodarstw. W ten sposób zyskaliśmy uznanie Szymona Weinberga, który w Lublinie miał gospodarzkę komunalną. Jak on tu przyjechał jak my go wzięli z saniami i końmi w górę... Popłakał się i powiada, że też nam pomoże. A chcieliśmy wybudować wodociąg. I on stoczył w partii w Opolu batalię o wodociąg. Na zarzut, że wieś związana z BCH i AK, powiedział: oni się już włączyli, ileż można tak samo myśleć? Wodociąg kosztował cztery miliony czterysta tysięcy złotych, z tego sami daliśmy dwa miliony trzysta. Z wodociągiem podciągnęliśmy światło, a jak światło, to i drogę. Więc niej niż połowę drogi wybudowała sama wieś. Uwierzyli mi w siebie, bo i nauczycielstwo było z nami. Zwłaszcza nauczycielka, która przejęła paleczkę po „Wiciach”. Więc „zmieniłam my oblicze wsi lubelskiej”, w nagrodę dostaliśmy pół miliona złotych. Gotówka poszła na ośrodek zdrowia. W 1966 rozbudowaliśmy potężnie budynek socjalny w kółku rolniczym. Nawet można było kąpać się pod przysmicami. Wreszcie zaczęto nam zarzucać, że nie wieś jest w ZSL-u tylko ZSL we wsi, i że to niedopuszczalne. Zredukowaliśmy się więc do trzydziestu członków. Przyszła inna polityka i z tą chwilą wieś zaczęła usypiać. W 1970 roku nie odczuliśmy żadnej odnowy.

— Od 1965 roku zaczęliśmy stosować bierny opór — rekapitułuje Solis. — Zaczęliśmy żyć na pół gwizdka.

— Ja musiałem wyjść z władz powiatowych i wojewódzkich ZSL, bo byłem za bardzo prawicowy. Ale na odchodnym powiedziałem wojewódzkiemu prezesowi, że jest czerwonym

# SUFIT PEKA!

Anna Bocian

burżujem... A teraz dożyłem swojego związku zawodowego. Za te dni od lipca do dzisiaj — można z reszty życia zrezygnować. Kiedyś odrywałem się w „Wiciach” od ziemian i księży, a teraz doczekałem, że chłop staje się pełnoprawnym obywatelem!

— Od początku mówiłem, że ci w Gdańsku nie zginęli na darmo — ma satysfakcję Solis. — Byłem akurat na weselu, kiedy Wałęsa podpisywał porozumienie z rządem. Pamiętacie, mówię, to historyczna data zmiany orientacji politycznej. Bo ustroju, to niemożliwe. Usłyszeliśmy, że strajki — już my w sierpniu całą wieś zorganizowaliśmy do dyskusji. Zrobiliśmy otwarte zebranie ZSL i PZPR, zawi-

zawodowe do „Solidarności”. Przecież jest tragedia, bo u nas kółko oficjalnie zawieszono, a już przychodzą opryski. Już potrzebne sadzarki. Kto się tym zajmie? Potrzebujemy środków ochrony roślin. Pszenica ozima już powinna być przyskana. A sprawa maszyn... Jeżeli kółka rolnicze nie zmartwychwstaną w niedługim czasie, to mi zboże wyczka zawali. Wieś w tej chwili nie interesuje się kółkami, a związkami.

— Przecież wuj też wie: ceny zboża i świń podniósł, bardzo nas to cieszy, ale ja się boję, że zrobili tak dla skłócenia wsi z miastem. Podskoczą pasze, ceny za usługi — w mieście też się ceny podniosą. To celowa robota.



Rys. Z. Pytlík

damiając władze gminne, nawet zapraszając sąsiednie miejscowości. Sekretarzom partii zabronili przyjść do nas. Władze ZSL też nie były zadowolone. Ale zebranie się udało. Wystosowaliśmy taką postulat, a właściwie trzy postulaty. Wuj, tak?

Wuj kiwa głową, a Stefan Solis wlicza:

— Pierwszy postulat, to związek zawodowy należy się chłopom też. Inny, że ZSL jest partią polityczną reprezentującą wieś własnym programem, a nie jest chłopcem do wyciągania gorących kasztanów z ognia.

— Od tej pory wieś zaczęła myśleć o związkach. Szkoda Stefan, że w czwartym punkcie nie postulowaliśmy wprowadzenia do konstytucji gwarancji dla rolników indywidualnych — dodaje jeszcze wuj Kalinowski. — Proszę pamiętać, że za pięć, dziesięć lat mogą zabrać nam te prawa.

Na kuchni dochodzą kartofle, pada pomysł, żeby dyskusję rozszerzyć, więc żona Stefana zaczyna kręcić korbką telefonu. Prosi Białowódę, przekrzykując trudności na łączach.

— Mietek? Nie mógłbyś do nas przyjechać?... Potrzebny... Bardzo... Kazika byś wziął... Co? Bardzo... Ale zaraz.

Tymczasem wuj sprowadza temat bliżej ziemi, do kółek rolniczych.

— My nie stawiamy problemu: albo, albo. Sprawy gospodarczo — mechaniczne do kółek, sprawy społeczno-

Dlaczego z nami tego nie konsultowano w myśl porozumień rzeszowskich?

— Dlaczego, dlaczego... wiadomo — irytuje się wuj, ale w progu staje właśnie Chyl Mieczysław z Białowody, prezes Gminnego Komitetu Kółek Rolniczych i działacz partyjny.

— Mietek, my tu na kółko narzekamy — relacjonuje wuj.

— A w gminie co innego robią? — Mieczysław Chyl przysuwa się z krzesłem. — Oficjalnie nie można się przycepić, ale roboty nie widać. Pilnujemy tylko, żeby naczelnik nie popełnił dużego błędu, dzieląc te trzy ciągniki między trzystu chętnych...

— No, nie tylko.

— O to poczucie godności też chodzi. Do tej pory miałem gospodarstwo na dziś i myślałem, że jutro parobkiem w spółdzielni będę. Teraz myślę, że dziecko przynajmniej lepiej będzie się czuło. Ze ten magazynier nauczył się zapraszać rolnika do wagi, a urzędniczka będzie uprzejmie człowieka obsługiwać. We wszystkich instytucjach tak załatwiliśmy, żeby do rolnika zwracano się życzliwie.

— A Zosin i Emilcin?

— Właśnie. W obu wsiach rolnicy zagospodarowali grunty wydane na

skarby państwa. Żeby nie zarazić się spółdzielnią produkcyjną.

— Trzeba powiedzieć, że w gminie Opole władze ZSL i partia rozumieją rolników — stwierdza Tadeusz Kalinowski.

— Czy popierają? — pytam.

— Nie przeszkadzają. Oni nie boją się odnowy. Oni też wiedzą o pozamaterialnych bodźcach rozwoju produkcji rolnej. Bo i historię wsi też trzeba odkłamać. Gdzie było widoczne w szkołach, że organizacja „Wici” tyle działała? Pamiętam, jak nam przed wojną w Wandalinie zakładano prorządową organizację „Siew” i złote góry obiecywano, żeby z „Wici” występować. A my nie, tylko organizowaliśmy zabawę fantową, żeby mieć na nowe książki. Jakaż to była awantura za „Dzieje grzechu”? Przecież to z „Wici” szło się do batalionów chłopskich...

— A już wydawało się, że Polacy zeznawali — nuta młodych wspomnień wymyka się Solisowi, który osiem dni strajkował w Rzeszowie. — Pojechaliśmy z Chylem, akurat wieźliśmy jabłka, cebulę i pieniądze, i trafiliśmy 19 września na zjazd chłopski w krakowskiej filharmonii. Wróciliśmy ze statutami — prosto na plenum ZSL i PZPR. Mieliliśmy ze sobą ulotkę „Związeki chłopskie koniecznością”. Gdzie tu przybić, żeby chłopcy wiedzieli? A nie, koledzy, tylko nie na komitecie, mówią nam. Nie, to nie, ale przynajmniej powiedzieć trzeba. Więc mówimy, że związki zawodowe chłopcy mieć muszą, bo na całym świecie mają. Mamny statuty już, już się chłopcy ruszają. Zjeżdżili nas... — śmieje się Solis.

— Ze statut niezdatny do przyjęcia, natychmiast nam powiedział tak pan z województwa. Ze założyciele „Solidarności” to nie chłopcy, a jak chłopcy, to zdegenerowane jak Janusz Rożek spod Łęczycy — z rozbawieniem wtrąca Chyl. — Więc mówimy: jak ty nas zjechałeś, to my pojedziemy do Rożka. Jego akurat nie było w domu, ale gospodarstwo obejrzeliliśmy. Bardzo piękny porządek, ładna obora i jeszcze duża szklarnia. Powiedziałem, że jak spotkam tego pana z Lublina...

Rosół pyrkocze, gospodyni kluski kroci, wuj Kalinowski jakby zniechęcony.

— Pogadaliśmy, a teraz do rzeczy. Kto zadba o moją pszenicę? Zakład Usług Mechanizacyjnych trzeba powołać, wieś musi sama wziąć się za swoje sprawy.

— Jeżeli można — wtrąca grzecznie Chyl — rolnik nie powinien dbać o swoje zaopatrzenie. To powinien zrobić za niego urzędnik. Władze nie wiedzą, co robić z urzędnikami. Skoro ci ludzie nic nie robią w biurach, niech może zrobić coś na wsi.

— Chłop nie będzie robił u siebie, jeżeli będzie kółka pilnował — uzupełnia Solis. — Wuj jest za samorządem, żeby chłopci zadbali i dopilnowali. A przecież tyle kółek rozkradziono... Krowa zje najpierw srunę sąsiadki, a potem swoją. To dowód. Ile zmarnowano majątku spółdzielczego?

— Nie odróżniasz krowy od człowieka? — Tadeusz Kalinowski jest jakby dotknięty.

— Mnóstwo kółek rozgrabiono — nadal utrzymuje Solis. Zapada cisza.

— W zasadzie to ja się z Mietkiem zgadzam — już spokojnie mówi wuj — że chłop powinien tylko produkować. Ale w warunkach biedy? Przecież to kosztuje. Będziesz czekał, aż ci urzędnik opryska? To w Ameryce. To jest idea.

— Wujku, nie wiadomo, co będzie droższe.

— Ale Stefan, nie masz wyjścia, jak samorząd teraz nie opryska...

— My nie możemy się godzić, że Polska jest krajem ubogim — próbuje pojednawczo Mieczysław Chyl. — Wuj chce, żeby ten ZUM był pod opieką kółka. Ładna opieka, jak teraz każdy traktorzysta sam sobie nalewa ropę. Zresztą dużo jest do zrobienia, a nie się nie robi. Więc dlaczego nie zabrać urzędników stamtąd, a wziąć tutaj, wuj?

— Bo nie zechcą. To jest marzenie. A do idei trzeba dążyć sto lat.

— Sufit peka od tej polityki! — irytuje się gospodyni i po prostu podaje obiad.



**D**OM Staniszewskich zarolił się przez czas moich nieobecności od wesołości i częściej dla mnie nowego towarzystwa. Oprócz p. Jana Grabowskiego, mojego następcy w wynajętym pokoju, przystojnego i akuratanego młodzieńca, który z doktorostwem wszedł w znacznie zażyłsze stosunki towarzyskie niż ja i nawet stołował się u nich, zastałam tam jeszcze, czy przemierzającym chwilowo, czy codziennym gościem, niejakiego ob. Jarostawa (nazwiskiem, zdaje się, Jarecki). Był to bardzo ładny, znużony chłopiec, mający ciągle jakieś przejścia z pannami, których sporo się koło niego kręciło, a i niemłoda pani doktorowa patrzyła na niego rozanielonym wzrokiem. O ile mnie pamięć nie myli, chodził po cywilnemu i był, zdaje się, odkomenderowanym z frontu do P.O.W. Z pań pojawiały się czasami siostrzenice p. Sempołowskiej z Motycza, ale najczęściej bywała młodzianka p. Ninka Olszewska, rosła jasnowłosa dziewczyna o „prasłowiańskim” typie urody i dziecięcounalnym a młodzieńczo górnym i chmurnym sposobie bycia, oraz jej matka, szczupła i mizerna siwiejąca blondynka, z mistycznymi bładoniebieskimi oczyma i ujmującym wyrazem twarzy, uchodząca za „esprit fort”, oplakująca swą drugą córkę zmarłą w Zakopanem na gruźlicę, a której pogrzeb, zgodnie z poglądami matki, miał się być odbyć jak mi opowiadała doktorowa, „całkiem po święcku i bez księdza”. Bardzo rzadko pojawiał się i p. Olszewski, zupełny już starzec, małowymny, obojętny na otoczenie i chodzący o kulach. Poza wymienionymi widziałam parę razy w tym towarzystwie, również bardzo ładnego, oficera Olszamowskiego, który później był jednym z belweder-skich adiutantów Piłsudskiego. A jako nowego stałego bywalca zastałam jeszcze pana, nazwijmy go X. Ygrek, kaprała II pułku ułanów legionowych, a w cywilu zdolnego malarza ze szkoły Stanisławskiej. Le-czył zęby w lubelskim szpitalu legionowym, a do pp. Staniszewskich przychodził prawie codziennie, by na przemian z ob. Jarostawem grać z nimi w bridge’a. Ob. Jarostaw nie mnie nie obchodził, choć flirtowaliśmy z nim zdawkowo, grając w pilkę w ogrodzie doktorstwa, ale piękny p. X. Ygrek od pierwszej chwili poznania zrobił na mnie wrażenie rodzajem urody i tym, że mi się bez ustanku z trudnym do niezauważenia zainteresowaniem przy-patrywał. Z p. X. przychodził do Staniszewskich jego przyjaciel, krępy brodaty i sympatyczny dr Kun-zek, także jakiegoś rodzaju artysta, zdaje się rzeźbiarz i w ogóle mi-łośnik i znawca sztuki. Poznałam go byłam jeszcze dawniej, asystu-jącego z jakimś kornym zachwytem ówczesnej pani Wieniawinie-Długo-szowskiej (późniejszej Grzmot-Skot-nickiej), rzeczywiście prześlicznej i efektownej kobiecie, która przyjeź-dzała do Lublina śpiewać na jakimś koncercie i nie pamiętam już, czy się może u doktorstwa zatrzymy-wała — w każdym razie dużo ją u nich widziałam. Ja też byłam nią zachwycona, ale nie wiem, czym do niej dwa słowa powiedziała, a ona ledwie mnie zauważyła.

Otóż to całe, bywające naówczas u doktorstwa towarzystwo upodoba-ło sobie czegoś we mnie tak, że się nie mogło beże mnie obejść i zu-pelnie przewróciło mi w głowie. Zniechęcona do mojej oficjalnej pracy, znajdowałam w nastrojach, niewymyślnej zresztą, wesołości i zabawy towarzyskiej zapomnienie, a może wyżywała się też w ten sposób, hamowana „powagą chwili dziejowej”, a właściwa mi w naj-wyższym stopniu, radość życia. Kiedy nie było większego towarzystwa, p. X i p. Grabowski zasiadali z do-ktorostwem do bridge’a, a ja, która kar: nie znosiłam — do pianina, aby im przygrywać i przyspiewywać moje ulubione chłopskie pieśni. U-pamiętniło się to potem w dedyka-cji książki „Ondine”, jaką mi na wyjeździe z Lublina we czworo o-fiarowali. Niestety, na tym się nie skończyło. P. X zaczął mnie bala-mucić i uwodzić w sposób tak po-wabny i kuszący, że z nim w końcu o święcie Bożym zapominałam.

Z tego nieprzypadkowego czasu pa-miętam, że w tym właśnie towa-rzystwie jeździliśmy nie wiem skąd wziętym wozem na wycieczkę do

Należczowa, gdzie dokazywaliśmy jak dzieci i odwiedzaliśmy dwie rodzi-ny. W jednej willi jedliśmy pod-wieczorek u spędzających tam lato znajomych doktorostwa, pp. Salkow-skich. P. Waclawa Salkowskiego, znanego lubelskiego adwokata, pa-miętam jako dość niepozornej, kwa-sno-cytrynowatej urody, szczupłego jegomościa. Za to jego żona była lubelską „lubicą”, osobą wielkiej piękności i tzw. „niezwalzonego” uroku. Mielł córkę, dorastającą pen-sjonarkę i skautkę, już wtedy zare-czoną ze szczupłutkim o chłopięcych rysach majorem I-ej Brygady, Bur-hart-Bukackim. Ta córeczka Jadwi-ga, ładny podłotek, była jeszcze wówczas zupełnie w cieniu olśnie-wającej matki, ale miała z czasem sama wyrosnąć na „lubicę”, znaną panią Jadwigę, primo voto genera-łową Burhart-Bukacką, secundo vo-to Józefową Beckową, żonę ostatnie-go przed wojną ministra spraw za-granicznych.

## LUBLIN 1916 (VII)

# Wierność i uroda życia

Maria Dąbrowska

Drugim domem, któryśmy od-wiedzali, była skromna willa pani Hornowskiej, matki uczonego pro-fesora neurologa, Józefa Hornow-skiego i córki Marii, osoby dziwnie cichego i ujmującego wyglądu, któ-rą do dzisiaj czasami spotykam, a zawsze z serdeczną przyjemnością. Doktorowa Staniszevska opowiada-ła mi, że starsza pani Hornowska była wielką miłośnicą Andriollego<sup>1)</sup>, i w samej rzeczy jej należowskie mieszkanie pełne było jego rysun-ków i obrazów.

Pokazywano mi wtedy w Należ-czowie domek Zeromskiego, w któ-

! samopotępiające skrupuły sumie-nia, także i wartościowy, gdyż wkła-dałam w moje nieopatrzone uczucia dużo sentymentu serca i natchnio-nego entuzjazmu. A choć nie mnie nie usprawiedliwiał, gdyż nie mo-gła być żadnym usprawiedliwieniem złożoność i dwoistość mojej natu-ry, niezdolnej do uczuć bezwarun-kowo wyłącznych, nie mogłam i nie chciałam na to poradzić, że w da-nej chwili w taki oto właśnie spo-sób życie śmiało się do mnie, a ja — do życia. Dla mojego partnera cała ta sprawa nie była niczym in-nym jak jedną z jego licznych przy-gód miłosnych, z czego zaczęłam stopniowo zdawać sobie spra-wę, jak i z tego, że jego wartość o-sobista była daleka od poezji, któ-rą go ozłociliam.

W listopadzie horyzont polityczny zaczął nabrzmiewać nową trudną treścią. Państwa Centralne po ty-sięcznych wahaniach i ceregielach wykrztusiły ze siebie uznanie jakieś

cięższy na szeroki zajazd po-Radzi-willowskiego pałacu, między dwa szpalery, wystawionych na rozpocz-ecie uroczystości, spieszonych au-striackich ułanów. Przypatrzywszy się nadjeżdżającym pojazdom, przez nikogo nie zaczepiane ani zatrzy-mywane, wyszliśmy drugą stroną podjazdu. Jakież było moje zdzi-wienie, kiedy we dwa dni potem ktoś ze znajomych przyniósł mi fo-tograficzną pocztówkę, na której kroczymy obie z panią Staniszew-ską między szeregami austriackiego wojska. Okazuje się, że przed gu-bernatorstwem operowali fotogra-fowie, których myśmy nawet nie zauważyły. Widząc nas tak śmiało kroczącymi po paradnym zajeździe, przypuszczaliśmy zapewne, że jeste-my jakimiś figurami i fotografię z nas złapaną wydali w cyklu pocztówko-wych zdjęć z uroczystości.

Zapomniałam dodać, że w dru-giej połowie października przepro-wadziłam się z kamienicy pp. Stani-

iluzorycznej „samodzielnej Polski”, ogłaszając akt 5-go listopada 1916 r.<sup>2)</sup> Stan tym aktem zaprojektowa-ny byłby nie do zniesienia, gdyby nie przekonanie wszystkich sfer i wszystkich kierunków politycznych, że to jest jedynie stan przejściowy i że cokolwiek się dzieje, Polska nie do niewoli idzie, lecz się z niewoli z mozołem wydostaje. Sprawy te są zbyt znane, żeby tu się nad nimi zatrzymywać. Przeglądając niedaw-no moją młodzieńczą książkę „Dzie-je naszej ojczyzny” — owo zamó-wienie Ksawerego Praussa — stwier-dziłam, że ja sama je wcale nieo-

szewskich do pokoju wynajętego u dwu jakichś starszych pań czy pa-nien przy ul. Namieśnikowskiej 27. Zanim się tam przeniosłam, jeszcze na ulicy Szpitalnej odwiedził mnie z Piotrkowa Tytus Jemielewski, a nawet u mnie w jadalnym pokoju zakaruszonego mieszkania noco-wał. Spędziłam z nim bardzo przy-jemny dzień na czule przyjaciel-skich rozmowach i na włóczędze po mieście i parku. I o tym zapom-niałam, że w czasie letniego kryzysu w Brygadzie przejeździł przez Lublin Juliusz Kaden-Bandrowski.<sup>3)</sup> Jechał jak wszyscy bez odznak z marszrutą ordynansa z frontu, zda-je się, do Warszawy. W drodze legi-tymowano go i aresztowano, ja-ko austriackiego poddanego, „po-dejrzanego” o dekowanie się w le-gionach przed służbą w regularnej armii, czy coś w tym rodzaju. Wy-ciągnięto go jakoś z tej biedy, ale nie pamiętam już dlaczego, nie mógł opuścić mieszkania, w któ-rym siedział parę dni, czekając na zatwierdzenie formalności podróży. Dowiedziawszy się o tym, odwie-dziłam go. Pamiętam, że mnie czę-stował bardzo dobrymi czekoladka-mi, znieśionymi przez adoratorki ta-lentu. Bredził coś o tym, że stał się twardym człowiekiem, który odsu-nie albo przekroczy każdą przeszkodę, mogącą stanąć na drodze je-go życia i jego zadań.

Wracając do spraw listopadowych, mnie i moich znajomych znacznie więcej od aktu 5 listopada obcho-dził nowy ciężki kryzys we frontowych oddziałach Legionów. Piłsudski był już w otwartym zatargu z wojsko-wymi władzami austriackimi, ofi-cerów zwalniał masowo do pod-ziemnej roboty wojskowej, a i sam niebawem podał się do dymisji. Dowództwo nad wszystkimi oddzia-łami Legionów objął z ramienia wojskowości austriackiej gen. Szeptycki (później pod koniec wojny gen[erał]-gub[ernator] lubelski na miejsce v. Cucka), którego brać żoł-nierska przywitała okrzykami: — „Oddaj Dziadka!” (tak nazywano w wojsku Piłsudskiego). Szeptycki u-chodził za przyzwoitego człowieka. Nie wiem, czy on, czy inne czyn-niki dokazały tego, co jedynie po-zostawało w tych dramatycznych o-kolicznościach do zrobienia — mia-nowicie wycofanie Legionów z frontu. Miały pójść na zimowe le-że do Baranowicz i Pułtuska, a więc na teren okupacji niemieckiej do-tychczas dla nich niedostępny. Ofi-cerowie Piłsudskiego przeszli ten kryzys tak ciężko, że jeden z nich, obiecujący uczonego geolog, Albin Fleszar, odebrał sobie życie za po-mocą japońskiego harakiri.



Pejzaż z epoki, autorstwa Henryka Szczygłowskiego  
Ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Lublinie reprodukcją Waldemara Stępień

rym mieszkał był z pierwszą żoną Oktawią i gdzie umarł jego syn, oraz drugą willę, gdzie jakoby wielki pisarz miał przebywać z drugą żoną, Anną z Zawadzkiej. Dom pa-ni Oktawii nazywany był poufnie „Wierną rzeką”, a dom pani Anny — „Urodą życia”.

Okres ten, od września do moje-go ostatecznego pod koniec listopa-da wyjazdu z Lublina, był dla mnie pod względem czysto emocjonalnym upajający, a pomimo nieodłączne od wszelkiego szalenstwa zgrzyoty

statnio i dość bezstronnie w tym popularnym dziełku opisałam.

Pamiętam ów dzień 5 listopada i uroczystość ogłoszenia aktu, w któ-rej ani ja, ani nikt inny z moje-go bliższego otoczenia udziału, ma się rozumieć, nie brał. Zdarzyła mi się jednak w związku z tym za-bawna przygoda. Byłyśmy akurat z panią Staniszevską na mieście i przechodząc Krakowskim Przedm[ie-sciem] około gubernatorstwa, tak dla dziecięcej ciekawości, żeby zoba-czyć, jak to z bliska wygląda, skrę-



## NIGDY OD CIEBIE, MIASTO

Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać.  
Długa była miła, ale cofało mnie jak figurę w sztachach.  
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej  
A zawsze byłem tam: z książkami w płóciennym torbie.  
Gapiący się na brązowe pagórki za wieżami Świętego  
Jakuba,

Gdzie rusza się drobny koń i drobny człowiek za plugiem.  
Najoczywiej od dawna nieżywi.  
Tak, to prawda, nikt nie pojął społeczeństwa ni miasta  
Kin Lux i Helios, szyldów Halperna i Segala.  
Deptaku na Świętojerskiej nazwanej Mickiewicza.  
Nie, nikt nie pojął. Nikomu się nie udało.  
Ale kiedy życie się strawi na jednej nadziei:  
Ze w jakiś dzień już tylko ostrość i przezroczyść.  
To, bardzo często, żal.

## RZEKI MALEJĄ

Rzeki maleją. Maleją miasta. Sliczne ogródki  
Pokazują czego nie widzieliśmy dawniej, kalekie liście  
i kurz.  
Kiedy pierwszy raz przepłynąłem jeziora, wydawało mi się  
ogromne.

Gdybym tam stanął dzisiaj, byłoby miśką do golenia  
Między lodowcowymi głazami i jałowcem.  
Las koło wioski Halina był dla mnie pierwotny,  
Z zapachem zabitego nie tak dawno ostatniego  
niedźwiedzia,

Choć między sosnami przeświecało pole.  
Co było indywidualne staje się odmianą ogólnego wzoru.  
Świadomość nawet we śnie przemienia barwy pierwsze.  
Rysy twarzy topnieją jak na woskowej kukle zanurzonej  
w ogniu.  
A kto zgodzi się mieć w lustrze tylko twarz człowieka?

## Z CHŁOPA KRÓL

Nie umiem jeść widelcem. Gniecie mnie korona.  
Po diabła mnie ubrali w te ich oksamity.  
Kobieta w długiej sukni to jest moja żona,  
Jakbym nie dość miał dziwek z mojej dworskiej świty.  
Szeptki wokół mnie. Płasy i parle franse.  
Co trzeba mówić prosto, wykręcając zawile,  
Grzeczności sobie wzajem prawią oszukańcze  
I trzepią się parszywcy, mdlejąc jak motyle.

Potrę na nich udając, że spuszczam powieki  
W tłustej drzemce. I co dzień tak strugam wariata.  
Taki już im zostanę w pamięci na wieki.  
Innego, wiem to, nigdy nie zobaczę świata.  
A mnie co? Mam nienawiść, ta we mnie się jarzy,  
Lampa mnie radująca, pochodnia weselna.  
Co myślę nikt nie zgadnie z głupkowatej twory.  
I tak o nie inaczej życie mi się spełnia,  
Tylko przez nich, co skaczą, mizdrzą się i chwają,  
Czuje, że jestem: ogniem, krzemieniem i stałą.

## POWINIEN, NIE POWINIEN

Człowiek nie powinien kochać księżycy.  
Siekiera w jego rękę tracić nie ma ciężaru.  
Sady jego powinny pachnieć gnijącymi jabłkami  
I porastać pokrywami w miarę.  
Człowiek mówiąc nie powinien używać słów  
dla niego drogich,

Ani rozłupywać ziarna, żeby zobaczyć, co jest w środku.  
Nie powinien rzucać kruszyny chleba ani płuć w ogień  
(Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie).  
Jeżeli wstępuje na marmurowe schody,  
Cham, niech stóra się wyłobić butem szczerbę  
Na przypomnienie, że schody trwać nie będą

## USTAWIĄ TAM EKRANY

Ustawią tam ekrany i nasze życie  
Będzie się ukazywać od początku do końca  
Ze wszystkim, co zdołaliśmy zapomnieć, jak się zdawało,  
na zawsze,

I strojami epoki, które byłyby tylko śmieszne i żalodne,  
Gdybyśmy nie my je nosili, nie znając innych.  
Armagedon mężczyzn i kobiet. Na próżno krzycząc: ja  
ich kochałem,  
Kaźde wydawało mi się dzieckiem łakomym i spragnionym  
pieszczot

Lubiłem plaże, pływalnie i kliniki,  
Bo tam oni kość mojej kości, mięso mego mięsa.  
Litowałem się nad nimi i sobą, ale to nie obroni.  
Skończone jest słowo i myśl, przesunięcie szklanki,  
Odwroćcie głowę, palce rozpinające suknie, błazeństwa.  
Oszukańczy gest, kontemplacja obłoków.  
Zabójstwo dla wygody: tylko to.  
I cóż z tego, że odchodzą dzwoniąc dzwoneczkami  
U kostek, że wkraczają tak powoli w ogień,  
Który zabrał ich i mnie? Gryz, jeżeli masz, palce  
I znów oglądaj, co było, od początku do końca.

# O skutkach nauk przyrodniczych

Dokończenie ze str. 1

chodzi". Odruch usprawiedliwiony, bo to było dotkliwe. Dotąd wyniesiony nad rzeczy, człowiek musiał zacząć patrzeć na siebie jako na rzecz, jego włączenie do rzędu ssaków zaczynało brać górę na jego autonomię z boskiego nadania, a moralność i prawo okazały się wytworem jego jako *genus* — podobnie jak buraki produkują cukier, mówiono.

Zastanawiające, że kiedy człowiek był tak naturalizowany, wykazywał coraz większą skłonność do ucłowieczania Natury. Zwierzęta w średniowiecznych *fabliaux* przemawiają i zachowują się jak ludzie, ale dlatego, że są ludźmi w przebraniu zwierząt. Jest to odwrotne do zwierząt w przebraniu ludzi, tej głównej obsesji pisarzy nowoczesnych. Przejęty litością nad zwierzęciem w sobie, nad jego bólem, strachem i zależnością od fizjologicznych potrzeb, człowiek, poniżony, nabywał współczucia dla wszystkiego, co żyje i cierpi, nazywając istnienie obozem koncentracyjnym i znajdując w nim argument przeciwko Bogu.

Oczywiście zmaganie się ze Złem we wszechświecie jest stare i już manichejczy nie chcieli wierzyć, żeby tak nędzny świat mógł wyjść z rąk dobrego Boga, ponieważ Boga należało oczyścić, uznali świat za dzieło złośliwego demiurga. A później mnożono teodyceje, czyli zręczne systemy, których celem było dowodzić, że Bóg, pomimo wszystko, za Zło nie ponosi odpowiedzialności. Nigdy jednak pozycja obrońców ukrytej harmonii nie była trudniejsza, nigdy manichejska zajadłość nie była tak agresywna, jak od chwili kiedy spostrzeżono, że ból materii żywej jest dźwignią jej Ruchu i że poszczególne istoty jest poświę-

cana w imię wspaniałej, olbrzymiej transformacji obywatelkiej się bez celów. Kiedy nasi potomni będą szukać określenia dla naszych czasów, prawdopodobnie posłużą się słowem „neo-manicheizm”, ze względu na charakterystyczny uraz do złej materii, której rozpaczliwie jest przeciwstawiana wartość, choć już nie pochodząca z boskiego źródła, wyłącznie ludzka, Barona Munchausena zdolnego wyciągnąć siebie za włosy z bagna. Wtedy też wszelkie pochwały ciała, swoboda w obyczajach, ukażą się jako pozory, maski: gdyż strach przed ogniem piekielnym nie zniknął, jedynie Piekło, jak dla tych dawnych uczniów Manesa, zagnieździło się w samym naszym poddaństwie, w bezbronności wobec rezydujących w nas naturalnych sił, dziś domeny biologa, lekarza i psychiatry.

Nie są to dla mnie rozważania teoretyczne. Wobec Natury nie jestem „ja”, noszę piętno mojej cywilizacji i jak ona mam poczucie zagrożenia, odrady do nieosobowego, wpisanego w strukturę kosmosu okrucieństwa. Podejrzewam co prawda, że ucłowieczając ból, tzn. rozciągając ból, taki jakiego doznaje człowiek, na wszystko co żyje, popelniam się błąd, inny niż wtedy, kiedy zwierzęta uważano za żywe maszyny, ale przez to niewiele lepszy. Być może tam, gdzie nie wkracza świadomość, nie ma cierpienia w naszym sensie, a poza tym nigdy chyba nie potrafimy odtworzyć doznań istot o mniej rozwiniętym systemie nerwowym: przecięta nożem osa, czy raczej jej część oddzielona od tułowia, dalej pije miód, żuk, który stracił właśnie nogę, równie energicznie jak przedtem biegnie ścieżką. Dlaczego więc mam występować jako oskarżyciel projekcji moich doznań na to, co jest Inne, a za moim rzekomym współczuciem kryje się lęk o sie-

bie: bo wiem, że w każdej chwili mogę być wystawiony na taką próbę jak paląca się w płomieniu świecy empa, nie tylko, wiem nawet, że na pewno czeka mnie mniej czy bardziej uciążliwa śmiertelna agonía.

Tak czy owak, piętno noszę i jeżeli bronie się przeciwko stosowaniu miar zbyt ludzkich, tym bardziej Inne osacza mnie swoją obcością, z jego praw nie mogę wyprowadzić żadnego prawa dla siebie. Gdyż moi współcześni, silnie tknięci manicheizmem, a chcąc czy nie chcąc jestem jednym z nich, bardzo oddalili się od nauk o zgodności z Naturą jako wskazówce zachowania się, o mądrym przyjęciu jej rytmu. Porażeni zwierzęciem w sobie (które niegdyś było trzymane w potrzasku przez Duszę, Rozum), namiętnie szukali Ducha, ale ponieważ Bóg wycofywał się, tracąc swoje atrybuty, Duch mógł być tylko ludzki, jedyny twórca rozróżnień pomiędzy dobrem i złem, przeciwstawiony wszechświatowi nie znającemu dobra ani zła. Choć odnośnie się podejrzenie do tego, co otrzymałem od innych, mieszkając wśród nich, słuchając ich lekcji, poddając się ich wpływom, odnajduję w sobie mocno już zakorzenione przekonanie o samotności, mojej, człowieka, wobec nieogarnionej przestrzeni, ruchomej a przede pustej, bo nie dochodzi z niej żaden głos w mojej, mnie bliskiej i dostępnej mowie.

Czesław Miłosz

Publikowany esej pochodzi z książki „Widzenia nad Zatoką San Francisco” (Paryż 1980), której I wydanie ukazało się w 1969 r.

(Red.)

O tym wszystkim opowiadał mi Marian, który przyjechał do Lublina 11 listopada. Był zbiedzony, strasznie przejęty śmiercią Fleszara, serce mi się krajało, kiedy na niego, w poczuciu własnych win, patrzyłam. Marian we wrześniu stracił też innego przyjaciela, towarzysza jeszcze z czasów P.P. Sowskich, Michała Sulikiewicza, polskiego Tatarsa-mahometanina, który padł tuż przy Marianie, rażony odłamkiem zablakowanego pocisku. Nie chcę opisywać, co się we mnie działo, gdy sobie uprzytomniłam moje oblakanie w czasie, kiedy mój najukochańszy przeżywał tak ciężkie rzeczy. Postanowiłam wyznać mu wszystko, lecz zaledwie zaczęłam coś ogólnie napomykać, wpadł w tak dziką rozpacz i w taki gniew, że musiałam dać spokój i rzecz załagodzić wszelkimi możliwymi sposobami, jakie miłość i skrucza zdolne są podyktować. Od tego czasu nie jeden jeszcze raz w życiu miałam się przekonać, że mężczyźni nie są w stanie znieść prawdy. Choć pod tyłu względami lepsi od kobiet, są jednak twórcami i hodowcami wszelkiego rodzaju zaklaman i nie mogą być szczęśliwi, o ile choć w jednej dziedzinie oczu sobie czymś nie zamydla lub nie dać zamydląć. Kobiety mogą się poawanturować dla fasonu, ale w końcu każdą prawdę zniosą, czy że są mniej moralne, czy że na boleść wytrzymalsze.

Po wyjeździe Mariana doszłam stopniowo ze sobą do porządku. Zerwanie przelotnych więzów romantycznych zdawało mi się już rzeczą nie tylko konieczną, ale i pożądaną. Okoliczności niezmiernie mi pomogły. Uwodzicielsko piękny X, wyjechawszy na parę dni do Warszawy, spotkał tam przypadkiem swoją dawną narzeczoną jeszcze z czasów uczniowskich i w myśl przysłowia „on revient toujours a son premier amour” — ponownie się z nią zaręczył. Niezmiernie się ucieszyłam, zdawało mi się to nadzwyczaj dorzecznym i ładnym wyjściem z naszego głupstwa. Mimo wszystko, co mi się po głowie troiło i mimo że nie byłam typową ani przykładową żoną, małżeństwo uważałam zawsze za rzecz bardzo cenną i jako instytucję, i jako szkołę życia, i nawet jako kamień probierczy serca i charakteru. Pożegnaliśmy się z wzajemną dla siebie wdzięcznością, bez żadnych próżnych żalów i potem już nigdy z p. X nie miałam nic do czynienia poza wymianą ukłonów przy kilkakrotnym zaledwie w ciągu przeszło dwudziestu lat przypadkowym spotkaniu na ulicy albo w tramwaju. W początku następnego roku p. X ożenił się, a wkrótce potem rzucił wojsko i oddał się malarstwu. Ja zaś, nie bez melancholijnej drwiny nad swoją głupotą i bezwiednie złym smakiem, dowiedziałam się, że wruszający powrót do miłości chłopięcych lat miał solidny podkład życiowy, gdyż owa narzeczoną była nieomal milionerką.

Mój roczny prawie pobyt w Lublinie dobiegał końca. Zresztą po ogłoszeniu aktu 5 listopada wszystkie ośrodki politycznego działania przenosiły się stopniowo do Warszawy. Na razie jednak moi współpracownicy zostawali jeszcze, ja zaś już od listopada duszą byłam poza Lublinem, pograżona w marzeniach, po pięciu latach małżeństwa, domu, w którym zaczęlibyśmy osiadle i spokojnie żyć.

1) Michał Elwiro Andriolli (1836—1895) — rysownik i ilustrator, kształcił się w Moskwie i Rzymie. Powstaniec 1863 r. Za granicą i w kraju zasłynął jako kronikarz obyczajów i ilustrator dzieł literackich (m. n. w „Tygodniku Ilustrowanym” i w „Kłosach”); najslawniejszy cykl ilustracji do „Pana Tadeusza”.

2) 5 listopada 1916 r. ukazały się manifesty general-gubernatorów: niemieckiego gen. Beselera w Warszawie i austriackiego gen. Kucka w Lublinie obwieszczające decyzje dwu cesarzy o utworzeniu Królestwa Polskiego w ograniczonych granicach i okrojonej samodzielności. Uzupełnieniem aktu 5 listopada było powołanie przez okupantów Tymczasowej Rady Stanu, której przyznano nieznaczne uprawnienia samorządowe.

3) Z Juliuszem Kaden-Bandrowskim (1885—1944) Dąbrowska znana się z Brucka, gdzie studiował konserwatorium i filozofię i uczestniczył w Stowarzyszeniu im. Lelewela. Dąbrowska wiele uwagi poświęcała jego twórczości; nie odmałwiała jej wartości, lecz odnosiła się do niej krytycznie.

4) „Zawaze się wraca do swej pierwszej miłości”.



# Świat zmieniają niepokorni

Dokończenie ze str. 1

pendium Fundacji Kościuszkowskiej, interesując się społeczno-polityczną rolą Polonii w życiu amerykańskim oraz problematyką szerszą, wyznaczoną przez tamtejszą teorię polityki i stosunków międzynarodowych.

**I.J.K.:** — Pamiętam pański wywiad z Edmundem Muskie, opublikowany kilka lat temu w „Polityce”. Czy to był „fragment większej całości”?

**Z.J.P.:** — W pewnym sensie. Kończę właśnie książkę o działalności senatora na tle Polonii.

**I.J.K.:** — O organizacji partyjnej UMCS mówi się ostatnio wiele — w Lublinie, Warszawie, Poniatowej i Toruniu, czemu trudno dziwić się komuś, kto zna np. treść waszego biuletynu informacyjnego „Od wymownym tytułem „Od Nowa”, który rozchodził się błyskawicznie w nakładzie do 1000 egzemplarzy. Krótko mówiąc, jesteście rzecznikami daleko idącej demokracji życia społecznego w kraju i samej partii, a wnioski swoje i propozycje formułujecie niezadko w sposób tak kategoryczny, że aż strach bierze ludzi przywiązanych do modelu politycznego Polski lat ostatnich. Proszę mi jednak powiedzieć, jak liczna jest wasza organizacja?

**Z.J.P.:** — Byliśmy i jesteśmy jedną z największych organizacji partyjnych Lubelszczyzny. Obecnie obejmuje ona około 850 członków. Daje też do myślenia fakt, że właśnie w ostatnich miesiącach wstąpiło do partii w naszej uczelni kilkanaście osób, gdy tymczasem wyraźnie zmalała liczebność organizacji w dużych fabrykach województwa. Zgodnie z niedawnymi decyzjami, mamy prawo wyboru własnego delegata na Zjazd PZPR.

**I.J.K.:** — Ile ma pan lat?

**Z.J.P.:** — 37, a pan?

**I.J.K.:** — Więcej, ale to chyba mało ważne. Ciekawsze natomiast, jaka jest średnia wieku egzekutywy Komitetu Uczelnianego?

**Z.J.P.:** — To ludzie z mojego pokolenia, tylko jeden z nich zbliża się do pięćdziesiątki.

**I.J.K.:** — Czy w egzekutywie zasiada ktoś z tytułem profesora?

**Z.J.P.:** — Po pierwsze: nie, po drugie: u nas nikt nie „zasiada”. Tu jest, proszę pana, młyn, a nie urząd.

**I.J.K.:** — Zgoda, sam widzę, co się tu dzieje. Ale młyn to jakby uniwersalny, skoro obok korespondencji o treści politycznej otrzymujecie także listy bardziej prywatne, na przykład na sprawie uwiedzenia dziewczyny przez kogoś tam spoza tego gmachu.

**Z.J.P.:** — Takie jest życie.

**I.J.K.:** — Zdążyłem się zorientować, że egzekutywa składa się z dwóch filozofów, politologa, prawnika, dwóch chemików, matematyka. A gdzie się zgubili wydziałowi humaniści?

**Z.J.P.:** — W czasie konferencji sprawozdawczo-wyborczej, która rozpoczęła się w styczniu i faktycznie trwała miesiąc. Zdaje się, że łagodny ton tych wypowiedzi nie trafił do przekonania wyborców... Trzeba wszak dodać, że w liczącym 30 osób Komitecie Uczelnianym znajdują się m.in. historycy i poloniści, a wewnętrzne zróżnicowanie tej grupy odpowiada naukowej strukturze uniwersytetu. Inna sprawa, że proporcjonalnie do swej liczebności studenci reprezentowani są w Komitecie słabiej, podobnie zresztą jak pracownicy administracji.

**I.J.K.:** — Czy to prawda, że cała egzekutywa należy do „Solidarności”?

**Z.J.P.:** — Tak. Komitet Uczelniany przekazał nawet pokaźną część swoich pomieszczeń związkowi. Funkcjonujemy na tym samym, XIV piętrze gmachu rektoratu, wspólnie rozważamy niektóre problemy.

**I.J.K.:** — Czy można więc spodziewać się, że zainicjacja służyć do mszy? Celebracje religijne są wszak trwałym elementem uroczystych zebrań związku.

**Z.J.P.:** — Są elementem jednego z nurtów „Solidarności”, występującego obok innych orientacji, np. ateistycznych, które niewątpliwie reprezentuje egzekutywa. Prózne zatem pańskie nadzieje.

**I.J.K.:** — W wystąpieniu na akademii 1-majowej w „Chatce Zaka”, gdzie również przemawiał przedstawiciel „Solidarności”, naszkicował pan kilka hipotez na temat kryzysu, jaki przeżywamy w Polsce. Proszę o szczegóły.

**Z.J.P.:** — Wertując różne publikacje i inne wypowiedzi z ostatnich miesięcy, doszedłem do wniosku, że zawarte w nich opinie i sądy można uporządkować w pięć hipotez, które źródła obecnej sytuacji upatrują w kryzysach: albo ekonomicznym, albo społecznym, albo ideologicznym, albo moralnym lub też w politycznym. Osobiście uważam, że wiadomy, dramatyczny stan rzeczy w kraju spowodował kryzys polityczny, niejako scallający wszystkie wymienione depresje. Moim zdaniem, niesprawne funkcjonowanie systemu politycznego doprowadziło do zaburzeń w sferze ekonomicznej, które z kolei wypaczyły struktury społeczne (powstanie elity), co następnie zrodziło konflikty ideologiczne, nietypowe dla socjalizmu, związane z ukształtowaniem się grupy ludzi zorientowanych drobnomieszczańsko i należących do elity władzy. W takim układzie musiał wystąpić kryzys moralny, który spowodował m.in. to, że lojalność zaczęła być ceniona wyżej, niż kompetencje, dobra praca etc. Koncepcja kryzysu politycznego obejmuje zatem nie tylko wszystkie inne załamania, ale określa jednocześnie pierwotną przyczynę katastrofy.

**I.J.K.:** — Dość popularne są jednak opinie, że gdyby Polacy mieli co jeść i nie musieli sterczeć w kolejkach do sklepów, nie doszłoby do sierpniowego wybuchu robotników.

**Z.J.P.:** — Nie podzielam ich. Są to poglądy zgodne z wulgarnie ekonomiczną interpretacją kryzysu. Uważam, że od samego początku szło o sprawy zasadnicze, imponderabilia, a nie o pieniądze, podwyżki płac itp. Kwestie materialne odgrywały zapewne znaczną rolę w roku 1956, kiedy stopa życiowa, obiektywnie rzecz biorąc, była niższa, podobnie jak dojrzałość polityczna klasy robotniczej. Ale przecież i wtedy domagano się reform politycznych, rozliczenia okresu „błędów i wypaczeń”.

**I.J.K.:** — Jak to się dzieje, że w państwie socjalistycznym wyrastają elity?

**Z.J.P.:** — W każdym społeczeństwie istnieje tendencja do powstawania elit, choć ustroj socjalistyczny wyklucza takie grupy. W jego idealnym modelu...

**I.J.K.:** — Ciekawe, ciekawe...

**Z.J.P.:** — ... jest miejsce dla grupy kierowniczej,

wyspecjalizowanej w reprezentowaniu warstw czy środowisk społecznych, sprawującej władzę. Nie może ona jednak posiadać przywilejów finansowych, monopolu na informację, najwyższego statusu w hierarchii prestiżu społecznego, nade wszystko zaś grupa ta nie może dziedziczyć swej specjalnej pozycji. Jeśli jest inaczej, jeśli ta cienka „śmietanka” społeczeństwa dysponuje najwyż-



Fot. W. Stępień

szym uprzywilejowaniem we wszystkich możliwych hierarchiach życia zbiorowego — wtedy zamienia się w elitę, a więc w coś, co egzystuje dla siebie, odrywa się od ogółu obywateli. No i w końcu społeczeństwo ma tego dosyć.

**I.J.K.:** — Pamiętam, że podział obywateli na wtajemniczonych kierowników i niedojrzałych wykonawców tłumaczono niegdyś wymaganiami strategii i taktyki walki o socjalizm. Nowy ustroj znajduje się w statu nascendi, w sytuacji ciągłego zagrożenia ze strony kapitalizmu, więc aby dobrze spełniać swoje funkcje, przywódcy muszą wiedzieć więcej i mieć więcej.

**Z.J.P.:** — Takie poglądy kryją niechęć do społeczeństwa, są dowodem niewiary w to, że akceptuje ono socjalizm.

**I.J.K.:** — Kiedy jako dziecie naiwne zapytałem na lekcji fizyki, co to takiego jest elektryczność, cała sala zatrzaśnięta od śmiechu koleśków, a pan nauczyciel odstał mnie po odpowiedzi do Pana Boga. Z pewną zatem obawą pytam teraz pana: co to jest socjalizm?

**Z.J.P.:** — Wspaniałe pytanie! Kilkakrotnie i publicznie sugerowałem, że „Założenia programowe...” na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR można by zmieścić na stronie maszynopisu (liczą kilkadziesiąt), gdzie wyjaśniono by właśnie istotę socjalizmu. Tymczasem dokument pomija kwestie fundamentalne, choć wiadomo, że czas najwyższy przewartościować niejedno pojęcie, poddać je szerokiej dyskusji. Bez względu musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki powinien być socjalizm,

## Sprzedawanie myśli bez głowy

Tadeusz Jasiński

**C**ENTRALE handlu zagranicznego, mające zwykle w czlonie swojej nazwy przynajmniej literki „Pol”, chętnie kupowały licencje zagraniczne, równocześnie nie zabiegając o sprzedaż polskiej myśli technicznej. Nieliczne transakcje na korzyść polskich wynalazców prawie zawsze dokonywały się poza tymi instytucjami i poza radcami handlowymi ambasad. Spisanie kontraktu, do którego nie dołożyło się starań, owszem, pobranie za ceną pieczętkę 15-20% procent prowizji — tak, wpisane do statystyk eksportowych — oczywiście, tego rodzaju działania cieszyły naszych centralnych handlowców.

Ten styl postępowania i rozumowania w centralach handlu zagranicznego przedstawiali uczestnicy ogólnopolskiej konferencji na temat eksportu osiągnięć naukowo-technicznych, zorganizowanej niedawno przez UMCS oraz Oddział Wojewódzki NOT w Lublinie. Problematyka spokojnie nie była zatem blaha, tymczasem nikt z Ministerstwa Handlu Zagranicznego, Polskiej Izby Handlu Zagranicznego, z żadnej centrali, ani nawet z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki nie skorzystał z zaproszenia. Któryś z ministrów nie był pewien, czy aby po X Plenum KC będzie jeszcze

pełnił tę funkcję, niektórzy dyrektorzy pragnęli w tak trudnych chwilach być raczej przy zagrożonych ministrach i resortach, naczelnicy uznali za konieczne wspieranie moralne podupadających podsekretarzy stanu i dyrektorów. Każdy z zaproszonych trząsał się o stołek swego zwierzchnika, a więc i o swój, bo z kim się przychodzi, z tym się też odchodzi — tak przynajmniej bywało dotąd — nikomu natomiast nie było w głowie, aby z lubelskich trzydniowych dyskusji wyciągnąć jakieś nauki dla promocji polskich wynalazców za granicę. Jeśli więc nie liczyć dwóch bardziej odpowiedzialnych funkcjnie referentów, jedynie odpowiednie memorandum, które zredagowali uczestnicy konferencji, sprawiło, że nie były to obrady w zupełnej próżni.

Podobnie jak Polska, niektóre inne kraje europejskie (RFN, Holandia) także więcej licencji importują, niż eksportują, lecz w przeciwnieństwie do nas mają się zupełnie dobrze pod względem ekonomicznym. Zapewne kupują obcą myśl jedynie wtedy, gdy jest dobra i można ją natychmiast zastosować w gospodarce. Stany Zjednoczone Ameryki eksportują licencje i technologii za 6 i pół miliarda, a kupują jedynie za 700 mln dolarów. Wielka Brytania sprzedaje rocznie za 1,2 mld. dolarów, a sprowadza obcą myśl techniczną i naukową za 900 mln. Te kraje także mają się dobrze — zapewne również z powodu tego najtańsze-

go w zakresie kosztów własnych eksportu, który, odpowiednio rekomendowany przez fachowców i polityków, jest niesłychanie korzystny. Nasze statystyki są wątpliwe, a mimo to tak niskie, iż niewspółmierne w stosunku do licznych sztabów ludzkich, zajmujących się jakoby tego rodzaju eksportem. Zresztą, tak wiele spraw w dziedzinie handlu zagranicznego uchodzi za tajne, iż nie wie lewica, co czyni prawica. Bywało, że nie potrafiliśmy wdrożyć w przemysł własnego wynalazku, został sprzedany wraz z dokumentacją za granicą, a następnie Polska kupowała go na zasadzie licencji za o wiele droższe pieniądze. Zabiegi autora wynalazku, czynione za granicą po bezskutecznych staraniach w kraju, były i są poczytywane jako zdrada narodowa. W centralach handlu zagranicznego panuje chaos. Jeden z dyskusyjantów wspomnianej konferencji oznajmił — a inni to doświadczenie potwierdzali — że w swojej ponad piętnastoletniej praktyce nie spotkał się jeszcze, aby jakąś transakcję załatwiał ten sam pracownik na początku jej narodzin i w chwili finału. Zbyt wielka tam płynność kadr, brak specjalizacji, główny cel, jaki przyświeca nawet adeptom tego zawodu, to częste i korzystne wyjazdy zagranicę. To, co u nas się dzieje, jest zupełnie niepojęte dla ludzi biznesu z innych krajów. Nie rozumieją braku inwencji i osobistego zainteresowania pomyslnością oraz opłacalnością transakcji, lenistwa, ociężałości w działaniu, wreszcie bezkarności naszych handlowców. W dziedzinie promocji polskich wynalazków, ich międzynarodowej ochrony prawnej, wreszcie eksportu dzieje się jeszcze gorzej.

Maszynę, surowiec sprzedać łatwiej, jeżeli zaofertuje się dobrą jakością i niską ceną. Licencji, technologii nikt nie kupi, jeżeli nie zostanie przekonany

o jej szczególnej nowości, jakości i przydatności. Najlepiej, gdy znajdzie się fabryka, która wykona prototyp, a jeszcze lepiej kilkanaście egzemplarzy danej nowości, które sugestywnie rekomendowałyby oferowaną licencję. W tym prototypie właśnie zawarta jest myśl twórcza i ją trzeba wysoko ocenić, korzystnie sprzedać, gdy nasz przemysł nie chce, nie potrafi lub nie może jej spożytkować. Bywały już u nas wynalazki rewelacyjne, odkładane jednak na później. Nie wdrożono ich do produkcji w kraju, ale i nie sprzedano z obawy, że korzyści osiągnie licencjodawca. W rezultacie dewiz nam nie przybyło, wynalazek szybko się zestarzał, wynalazca zgorzkniał i zubażał, za granicą odkryto w końcu coś jeszcze lepszego, a na półkach naszych pozostała jedynie pamiątka, w dodatku nieopatentowana poza krajem. I tajemnica została prawie zachowana. Tymczasem jest to eksport bez wielkiej ilości surowców, jak widać z przytoczonych przykładów czterech państw — bardzo korzystny. Tylko że brak u nas szybkich decyzji — co realizujemy sami, co musimy sprzedać i w jaki sposób — oraz ludzi, którzy by tym szczególnym towarem zechcieli na serio, odpowiedzialnie i serdecznie handlować.

Jeden z dyskusyjantów, podobnie jak rzymski trybun na temat konieczności zburzenia Kartaginy, z uporem kilka razy w ciągu trzech dni wołał: „Polserwis” musi być zlikwidowany! Krytykowano też placówki radców handlowych i ambasad polskich na całym świecie. Zdaniem praktyków i naukowców, są to kosztowne, biurokratyczne urzędy poza zasięgiem obywatelskiej kontroli, nie lub prawie nie robiące dla eksportu polskiej myśli technicznej. Uznawano też zbędność, a nawet szkodliwość pośrednictwa central handlu zagranicznego. Głównie bezpośrednie kontakty wyspecjalizowanych pracowników instytu-



który sprawdziłby się w specyficznych, polskich warunkach, zyskując żywiołową akceptację naszego społeczeństwa.

**I.J.K.:** — Słyszałem, że socjalizm to władza partii, która uznaje się za socjalistyczną.

**Z.J.P.:** — No nie, na pewno nie. Myślę że należałoby sporządzić katalog podstawowych wartości socjalizmu i poddać go pod narodową dyskusję. Zresztą jeden z zespołów powołanych przez Komitet Uczelniany pracuje nad określeniem tego pojęcia w różnych wariantach; rezultaty będziemy omawiać na naszej konferencji, podczas której wybierzymy m.in. delegata na Zjazd. Oczywiście, takimi problemami powinny zajmować się znacznie wyższe instancje, ale skoro nikt tego nie robi...

**I.J.K.:** — Istnieje przecież Wyższa Szkoła Nauk Społecznych, działająca Instytut Marksizmu-Leninizmu...

**Z.J.P.:** — Placówki te dostarczają odpowiedzi na pytania szczegółowe, z których nie tak łatwo złożyć spójny obraz całości o nazwie „polski model socjalizmu”.

**I.J.K.:** — Może więc pan wyjaśni, co to jest socjalizm?

**Z.J.P.:** — Trudna sprawa, nie chciałbym niczego przesądzać.

**I.J.K.:** — Czy to nie smutne, że po 35 latach Polski Ludowej mamy kłopoty ze znalezieniem precyzyjnej odpowiedzi na podstawowe pytanie o cele i wartości ustroju?

**Z.J.P.:** — Jeśli wyjdziemy z założeń marksizmu to uznamy, że rozwój społeczny jest nieustannym ruchem, a więc procesem, który nie dopuszcza do określenia czegoś raz na zawsze.

**I.J.K.:** — A co to jest rewizjonizm?

**Z.J.P.:** — Kolejny temat do szerokiej dyskusji w partii. Uprzedzając taką debatę, do której dojść powinno, zauważę tylko, że za rewizjonizm można by uznać np. takie koncepcje, które w aspekcie demokratycznym upatrują jedną istotną rzecz organizacji partii. W przypadku ich realizacji mielibyśmy do czynienia z jakimś luźnym zespołem samorządów partyjnych, z czymś amorficznym pozbawionym wspólnej linii działania. Opinia obiegowa głosi, że dotychczasowa, zcentralizowana struktura partii była zła, zrodziła biurokrację i inne poważne schorzenia. Podzielam ten pogląd, co nie znaczy, że przyszłość odnowionej wewnętrznie partii widzę pod postacią stowarzyszenia grup ludzi, które nawiązują z sobą kontakty na zasadzie czyjegóż widzimisię. Zdaję sobie przy tym sprawę, że znalezienie optymalnego rozwiązania nie jest łatwe, ale na pewno możliwe.

**I.J.K.:** — Tymczasem organizacja partyjna UMCS bierze udział w pracach tzw. struktury poziomej, obejmującej m.in. takie wielkie fabryki Lubelszczyzny, jak FSC, WSK — Słudnik, pioniatowska „Eda” oraz inne uczelnie: Akademii Rolniczą i Politechnikę.

**Z.J.P.:** — Zespół do spraw Współpracy Organizacji Partyjnych Lubelszczyzny, bo tak brzmi pełna nazwa owej struktury, powstał w marcu na zasadzie klubu dyskusyjnego, otwartego dla wszystkich członków PZPR. Nie posiada prezydium, przewodniczącego — jest miejscem swobodnego wyrażania poglądów na sprawy, które uznajemy za ważne, wobec których próbujemy zajmować wspólne stanowisko. Z reguły dochodzimy do porozumienia, choć nie zdarzyło się jeszcze, by jednogłośnie. Bezwzględnie łączy nas jedno: przekonanie o potrzebie demokratyzacji partii i całego życia społecznego.

**I.J.K.:** — Czy mógłby pan scharakteryzować środowiska,

które najmocniej przeciwstawiają się demokratyzacji stosunków w kraju?

**Z.J.K.:** — Jest to część grupy kierowniczej, która posiada świadomość odrębnej przynależności klasowej, uzyskaną m. in. drogą zmonopolizowania sfery dyspozycji. Jej interesy są sprzeczne z interesami klasy robotniczej, a sposób myślenia o rzeczywistości wyraża się niechęcią lub pogardą wobec robotników. Ważne przy tym, że to „rózowe mieszczaństwo” funkcjonuje na wszystkich poziomach hierarchii społecznej, także na tych najniższych. Oczywiście, w sensie marksistowskim nie jest to klasa, ci ludzie manifestują raczej klasowy typ świadomości — fałszywej, zgoda, ale ujawniającej się równie ostro, jak prawdziwa.

**I.J.K.:** — Pozwól sobie więc zapytać, czy w partii istnieje frakcja? Różna opinia krąży na ten temat.

**Z.J.P.:** — Na jednym z posiedzeń Komitetu Uczelnianego dyskutowaliśmy ten problem. Ktoś wskazywał, że istnienie frakcji „konserwatywnych ekstremistów” jest faktem na tyle widocznym i niebezpiecznym, że należałoby podjąć uchwałę wzywającą do walki z tą formacją. I o burzliwej wymianie zdań doszliśmy jednak do wniosku, że nie jest to frakcja, lecz grupa, która próbuje przeforsować czy przynajmniej zareklamować własną wizję programu partii, co przed Zjazdem jest czymś zupełnie naturalnym. O frakcji stanowi wyraźny program polityczny, sformułowany przez jej członków i odrębny od programu całej partii.

**I.J.K.:** — Co sądzicie o „Założeniach programowych” na IX Zjazd PZPR?

**Z.J.P.:** — Byliśmy wśród tych dużych organizacji partyjnych kraju, które konsultowały projekt „Założeń”. Właściwie cała nasza działalność, odnotowana w 24 uchwałach Komitetu Uczelnianego, wiązała się z tym właśnie dokumentem, stanowiącym punkt wyjścia do jasnego określenia nowego charakteru i roli partii. Niejako oficjalne stanowisko wyraziliśmy w uchwale nr 22 z połowy kwietnia, w której bardzo krytycznie oceniliśmy projekt „Założeń”, zyskując żywiołowe poparcie Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej. Naszym zdaniem dokument opisywał objawy (niekompetentne kierownictwo, autokratyzm, skostnienie aparatu, niechęć do demokracji wewnętrznej), a nie mechanizmy które doprowadziły do kryzysu. Przeciwnie źródła tego kryzysu tkwią w mechanizmie funkcjonowania partii, w jej strukturze, częściowo w statucie. Naszym zdaniem, przykładowo, właśnie statut winien zawierać ordynację wyborczą, ponieważ żadnych pozytywnych skutków nie daje formułowanie jej od przypadku do przypadku przez urzędy partyjne. Krytycznie oceniliśmy ponadto samą objętość dokumentu i jego język — doprawdy mało komunikatywny — oraz brak określenia modelu socjalizmu w Polsce.

**I.J.K.:** — Czytając „Założenia”, dostrzegam w nich przecież sporo jaśniejszych punktów, obliczonych demokratyzację i nowe rozumienie kierowniczej (programującej) roli partii w życiu kraju.

**Z.J.P.:** — Zgoda, warto jednak wiedzieć, że redagowano je pod naciskiem dolów partyjnych.

**I.J.K.:** — A więc i owoych struktur poziomych?

**Z.J.P.:** — Oczywiście. Wie pan, ciekawa sprawa: zespoły te budzą nieufność pewnych środowisk, gdy tymczasem kilka lat temu instancja wojewódzka wręcz zachęcała komitety zakładowe do nawiązywania takich właśnie, poziomych kontaktów z organizacjami partyjnymi uczelni. Szło to

po grudzie, opornie, ale ostatecznie POP Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UMCS i Fabryka Samochodów Ciężarowych dopracowały się interesujących form współdziałania. Organizacja Instytutu w całości uczestniczyła w zebraniach partyjnych FSC, zwiedzaliśmy zakład, niejednokrotnie fabryka wypożyczała nam autokar na wycieczki. A teraz niektórzy dziwią się, że kontynuujemy sprawę.

**I.J.K.:** — Mówi się o potrzebie redukcji aparatu partyjnego, dublującego niejednokrotnie administrację państwową.

**Z.J.P.:** — O tej kwestii mówi się u nas od ponad trzech miesięcy, czego najpełniejszym świadectwem uchwała Komitetu Uczelnianego w sprawie funkcjonowania aparatu partyjnego. Moim zdaniem, partia winna zajmować się polityką, a nie sposób stwierdzić, że wszystko jest polityką. Jeśli jest inaczej, aparat szybko ulega biurokratyzacji, a w ślad za nim zapada na tę chorobę, znacznie silniej administracja. Efekt znany: oderwanie się od społeczeństwa.

**I.J.K.:** — A co będą robić ludzie, którzy opuszczą aparat? Istnieją podstawy do przypuszczeń, że dla niejednego z nich ułokowanie się w nowej sytuacji okaże się nielatywne.

**Z.J.P.:** — Rzeczywiście, będzie to proces bardzo bolesny, ale cóż, niewątpliwie konieczny. Zresztą, cokolwiek by mówić o aparacie, nie jest on tak bardzo rozbudowany, jak się potocznie twierdzi. Czy pan wie, że np. w lubelskim Komitecie Miejskim pracuje tylko kilkanaście osób, a w KW o około setki?!

**I.J.K.:** — Trzeszczy nam gospodarka, potrzebne samieszanie panuje w sferze ideologii, mnożą się recepty na uzdrowienie partii i życia społecznego, a równoległe uczy nieuchronnej rzekomo katastrofy. Jak pan sądzi, czy świat pojmuje polską rzeczywistość postępową, rozumie nasze nadzieje i obawy?

**Z.J.P.:** — Tak, po swojemu. Problem tkwi chyba gdzieś indziej, w tym, że my sami siebie nie rozumiemy. Dlatego ciągle twierdzę, że dyskusje nad nowym kształtem i rolą partii trzeba zacząć od spraw podstawowych.

**I.J.K.:** — Wiele problemów można rozwiązać w dyskusji, mądre wnioski wprowadzające do statutu, konstytucji, do innych ważnych aktów, które regulują życie narodu. Ale czy wcielenie tych mądrości w praktykę, ich respektowanie nie zależy w ostatniej instancji od kultury politycznej społeczeństwa, co by się rzekło, ciągle jeszcze niskiej z powodów przesądów niezałamanych?

**Z.J.P.:** — Istotnie, lecz patrząc głębiej zgodzimy się chyba, że zależy to głównie od sił społecznych, które stanowią faktyczną gwarancję przemian. Tymczasem wielu ludzi ze „struktur poziomych” ludzi się, że wszystko nam załatwią same gwarancje formalne (ustawy, uchwały, deklaracje, uroczyste przyrzeczenia).

**I.J.K.:** — Czyli partyjny powinien znaczyć działający...

**Z.J.P.:** — Oczywiście. I dlatego właśnie przeprowadzamy rozmowy indywidualne z biernymi członkami naszej organizacji, którzy unikają zebrania, nie placą składek, czekają, w jaką stronę kwilnie się sytuacja polityczna. Zalecono nam co prawda rozmawianie z ludźmi aktywnymi, ale nikomu z nas nie przypadła do przekonania taka sugestia. Marksizm jest ideą ludzi niepokornych, chcących zmieniać rzeczywistość.

**I.J.K.:** — Życiowe doświadczenie podpowiada więc, że nie wszyscy członkowie partii są marksistami... Dziękuję za rozmowę.

**P.S. 28 maja br. uczelniana konferencja partyjna na UMCS wybrała Ziemowita J. Pietrasia delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.**

tów, firm wdrażających, robiących prototypy, ośrodków badawczo-rozwojowych i oczywiście samych wynalazców — coś w dziedzinie promocji potrafiły uczynić. Centrale przejmowały już gotowe, one jedynie podpisywały umowy i pobierały wysokie prowizje akwizycyjne. Dotychczasowe przepisy prawne są zagnatwane, niejednoznaczne i hamujące.

„Polservis” woli handel żywym towarem — tak to nazywano, dodając i przymiotnik: haniebnym handlem — niż kłopotliwe starania o zainteresowanie zagranicą jakimś polskim wynalazkiem. Zaproponować Libijczykom wybudowanie u nich szpitala, wyposażenie go, a następnie obsadzenie polskim personelem medycznym — tak. Zaproponowanie tym samym lub innym kontrahentem licencji na sprzedaż skomplikowanego urządzenia służącego uzdrawianiu ludzi — o, to wymaga tak wiele zachodu, że dajmy pokój takim pomysłom. Procedura patentowa w kraju i za granicą trwa długo, zabieg mający na celu zainteresowanie obcych wynalazkiem także, więc lepiej zająć się tym, co daje szybkie efekty. Człowiek wystany pracuje i żyje już sam, odprowadza jednak aż 20 proc. swoich zarobków do CHZ „Polservis”, która urządziła go na innym kontynencie, jak się później okazuje, jako białego murzyna. Za co holenderski lub niemiecki inżynier specjalista otrzymuje trzy tysiące „doleń”, Polak bierze jedną trzecią, nawet jedną szóstą tej kwoty i mniej, z tym że płaci jeszcze niewolniczy haracz handlarzom z „Polservis”. To, co otrzymuje, jest niższe od minimum socjalnego na Zachodzie, ale on, harując poza wszelkim prawem dwanaście i więcej godzin, jest mimo to zadowolony, bo dewizy przelicza na złotówki i ceny „Pewexu” — nie dojadając, nie dosypiając. Dotyczy to szczególnie robotników budowlanych, techników i innych dobrych fachowców potrzeb-

nych w kraju. Oferty nasze przyjmowane są jedynie dlatego, że skłonni jesteśmy przecież pracować za pół darmo. Byle wspomniane 20 proc. wpłynęło do kiesy centrali.

Nazwał to ktoś z ludzi przemysłu swoistym drenażem mózgow własnymi rękami, rozgrabianiem przemysłu, budownictwa, służby zdrowia, Instytutów z najlepszych umysłów, z pracowników o najwyższym morale zawodowym i społecznym. Wysła się na eksport ludzi najlepszych z najlepszych, ogolaca firmy z umysłów twórczych. A zakłady (w których oni wyrosli), zgodnie z uchwałą Prezydium Rządu nr 8/72, nie mają nic z tego wzamian. Lubią na Bliskim Wschodzie nasze przedsiębiorstwa, bo tanie, ale nie poważają, bo za te pieniądze nie chce pracować nawet robotnik arabski. „Polservis” została powołana przed laty przede wszystkim w celu zajmowania się eksportem polskich wynalazków, myśli technicznej i technologii. Czy eksport żywego towaru, w dodatku mało korzystny materialnie, ma być jedynym spełnieniem tego powołania?!

Na świecie działa kilka firm zajmujących się pośrednictwem w sprzedawaniu licencji i technologii. Skoro istnieją wiele lat, znaczy, iż są dochodowe. Największe zyski z tego tytułu ma amerykańskie biuro pod nazwą „Dr Dvorkovitz”. Jakże ono prosperuje, jakie ma uznanie, wiarygodność, jakim cieszy się zaufaniem! Czemu więc nasza CHZ „Polservis” nie chce zarabiać w ten godniejszy sposób? O czym tu zresztą mówić, skoro centrala nie potrafi nawet danej propozycji wycenić, nie posiada fachowców.

W tych dokumentach i enuncjacjach, które wiążą się z małą reformą gospodarczą, a są nam już znane, nie można niczego znaleźć, co dotyczyłoby promocji polskiej myśli naukowej i technicznej za granicą.

## MŁODZI IDĄ!

**Z**AWOLANIE „Młodzi Idą” znowu stało się modne. Powiedzenia tego osobliwie nie lubił mój dziadek. Zawsze złośliwie pytał — dokąd idą? A gdy już ochłonął machał ręką i mówił: „A niech sobie idą, tylko niech nie tupa”. Ponieważ pytanie, dokąd idą młodzi, oddziedziczyłem w spadku, chętnie czytam teksty studenckie. Ostatnio wpadły mi w ręce dwa wydawnictwa SZSP: pismo teoretyczno-szkoleniowe „Warsztat” i zbiór artykułów „Humanistyczna i klasy”. Zawartość jest ciekawa i na ogół na niezłym poziomie, trafiły się także dwa kurioza. E. Korolczuk w artykule „Droga do nikąd” stwierdza, że Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” jest siłą antysocjalistyczną. A ponieważ cytuję pozytywne wypowiedzi o DiP Rakowskiego i Werblana, sądzić należy, że i oni są „silami”. Z kolei R. Pluta („Anty-Lange”) na trzydziestu stronach dowodzi, że Lange był „teoretycznym przedstawicielem drobnomieszczaństwa” oraz że jego poglądy są „anachronizmem i myślą ekonomiczną polityczną prostoduszność”. Mniejsza o tę

tezę i pseudonaukowy belkot. Jeden jednak fragment wart jest upowszechnienia. Pan Pluta pisze: „Jego” (Langego — przyp. mz) sposób produkcji jest sumowaniem sił i stosunków, które tworzą całość na obraz i podobieństwo stopy i buta. Jak wiadomo stopa i but nie rozwijają się na zasadzie walki między sobą, sprzeczności wewnętrznej. Stopa rozwija się skądinąd, a jej stosunek do buta jest sprzecznością zewnętrzną. Jest on dla niej po prostu przeszkodą, barierą, kajdanami, które musi rozerwać. Kontynuując tę analogię, Lange nie zna kategorii „obucia”, które ma dwa momenty sprzeczne, acz będące w jedności, jeden — to co „obute” (czytaj — siły), drugi — to co „obuwane” (czytaj — stosunki). U Marksa rozwija się właśnie to „obucie”, które ma wewnętrzną sprzeczność „obuwanego” i „obuwającego”.

Komentarz jest właściwie zbyt techniczny. Można jedynie zawołać: „Do szewca”

(MZ)



**M**USZĘ się przyznać, że gdy wśród hipotetycznych zapowiedzi repertuarowych bieżącego sezonu w Teatrze im. J. Osterwy znalazł się tytuł „Iwanow”, przyjąłam wiadomość z tak zwanymi mieszany uczeni.

Sztuka Czechowa! — Niezwykły, jedyny w swoim rodzaju, humanizm wizji scenicznych tego dziewiętnastowiecznego pisarza (zmarłego już w 1904 r.), które środkami wyrazu wyprzedziły swą epokę, podbija po dziś dzień publiczność teatralną wszystkich kontynentów naszego globu. Wielu luminarzy literatury, sztuki, krytyki, dokładało starań, by zdefiniować swoisty urok najlepszych sztuk Antoniego Czechowa: „Wiśniowego sadu”, „Trzech siostr”, „Wujaszka Wani”, „Mewy”. O tym, jak wysoko je cenił, można przekonać się bez większego trudu choćby przeglądając objętą antologią pod redakcją Renę Siliwskiego, wydaną w 1971 r. przez PIW w serii „Wielcy pisarze w oczach krytyki światowej”. Widzimy tu m.in. wypowiedzi Tomasza Manna, Bernarda Shaw, Ili Erenburga, Maksyma Gorkiego, Stanisława Brzozowskiego, J. B. Priestleya, Jean-Louis Barault...

## Stracone zachody artystyczne

Maria Bechezyc-Rudnicka

Pelno w owych wnikliwych rozważaniach aprobaty dla treści i formalnego nowatorstwa wyżej wymienionych sztuk, dla postawy ideowej ich autora, którego etyka pisarska była w doskonałej harmonii ze sposobem bycia w życiu osobistym. Warto przytoczyć np. mniej cytowany passus wywodów Łászló Németha. Pisze autor eseju „László Czechowa”: Uderzające, że syn kupca korzennego z Taganrogu, który od samego początku swojej twórczości w tak przekonujący sposób przedstawiał tylu małych ludzi, chłopów, kelników, „czinowników”, w opowiadaniach większych i głośniejszych sztukach teatralnych koncentruje swoją uwagę raczej na życiu ziemianstwa [...]. Czechow właśnie był tym [...], który widział niebezpieczeństwo tej klasy [...]. Znajomości pisarza [...] utwierdziły go tylko w przekonaniu, jak poważne „zwykłych śmiertelników” wiecie jest jednostek, które zasługują na lepszy i laskawczy los, a które zamiast tego marują i zdręczają się. Destrukcyjny wpływ wielkich i nieuchronnych procesów dziejowych na natury kruche i wrażliwe [...] — oto co tak bardzo potrafiło przyciągnąć do siebie zdolne współczuć serce i instynkt dramatopisarski Czechowa.

Tenże pisarz węgierski, wspominając dalej wieczór spędzony w Moskwie na spektaklu „Wiśniowego sadu”, uwierzytelnia zdanie o ponadczasowej mocy talentu Czechowa zaiste frapującym świadectwem: Czyż to nie cudowne, że na scenie poruszają się niczym widma dawni ziemianie — ze swymi obcymi dla nas i anachronicznymi troskami, a na widowni siedzą ci, którzy — jeśli nawet pośrednio — jako klasa przyczynili się jednak do ich zagłady. Więcej nawet: siedzą z wilgotnymi oczami. Dlaczego? Dlatego że pewien wielki pisarz przyjrzał się kiedyś tamtym i ulitował się nad nimi.

Chyba nie wilgotnymi, lecz po prostu szeroko otwartymi oczami, wszakże chętnie, oglądają arcydzieła autora „Wiśniowego sadu” ludzie i pod innymi długościami geograficznymi — znany krytyk Eric Bentley twierdzi, jakoby rzadko zdarzał się rok, by na Broadwayu lub West Endzie nie wystawiono sztuki Czechowa.

Dobrze, czemuś wtedy zwierzyłam się na wstępie, że zapowiedź wystawienia jednej z jego sztuk w Teatrze im. J. Osterwy odebrałam z „mieszany uczeni” uczuciami?

Ano z tej „nieprostej” przyczyny, że dramaturgia Czechowa, cieszącej się coraz większą sławą i wzięciem na szerokim świecie, jakoś nie powiodło się w Lublinie. Dwukrotne próby zmierzania się z nią w trzydziestopięcioletnim okresie powojennym wypadły raczej niefortunnie. Inscenizacja „Wujaszka Wani”, wystawionego w 1960 r. w związku z setną rocznicą urodzin pisarza, była nijaka, niewłaściwa obsada zaprzepaściła słynne czeszkowskie podteksty, paury, pauzy, próżnia. Jeszcze gorzej było w r. 1978, kiedy do Czechowa dobrał się młody reżyser-kreacjonista. Wykonypował on dla gry aktorskiej i scenografii pseudoawangardową, zgola fantazyjną „rodzajowość”, zuchwale wypaczając realistyczny autentyzm jednoaktówek Czechowa „Niedźwiedź” i „Oświadczenie”.

W ten sposób dramaturgia wielkiego klasyka została poniekąd „skompromitowana” w pojęciach przeciętnego lubelskiego widza. Zdawałoby się tedy, że decydując się obecnie na ponowne jej wykorzystanie, Teatr im. Osterwy powinien tym razem reprezentować godziwie jedno z niegranych

w Lublinie arcydzieł pisarza, np. „Wiśniowy sad” — skoro jest dla niego wyborna obsada.

Niestety, stało się inaczej: na afisz wszedł „Iwanow”, pierwsza próba „poważnego” dramatu, podjęta przez Czechowa w 1887 r.

Prawdę mówiąc, nie tylko teatr lubelski zniechęcił ten „Iwanow”, bynajmniej nie nacechowany jeszcze późniejszym mistrzostwem dramatopisarskim Czechowa. Wystawili „Iwanowa” po wojnie: w 1963 r. — warszawski Teatr Klasyczny, w r. 1978 — Teatr Powszechny w Radomiu, w 1979 — stołeczna Estrada, w 1980 — Teatr Ochoły, w 1981 — Teatr im. J. Tuwima w Łodzi.

Czym by się mogło tłumaczyć takie niezastuzone wzięcie?

Pisze Czechow do wydawcy o „Iwanowie”: Całą energię zużyłem na nieliczne prawdziwe i mocne sceny, jednak łączące je kładki są słabe, liche i banalne.

Święta prawda... Otóż to: kładki. Cóż za okazja dla adaptatorów wszelkiego autoramentu!

Ale mógłby być jeszcze inny powód — bardziej nobliwy.

Posłużmy się znów słowami Czechowa, również trafnyimi. A mówi autor Iwanowa, co następuje:

*Jakkolwiek marna jest ta sztuka, stworzyłem typ mający niewątpliwie znaczenie literackie, dałem rolę, której podejmie się tylko taki talent jak Dawydow, rolę, w której aktor może się wyżyć i zadłuszyć.*

Wydaje się, iż w lubelskim przypadku wystawienia „Iwanowa” zadziały obydwie suponowane powody.

„W tym miejscu wyjaśni się ostatecznie kwestia mych po raz trzeci tu wspomnianych „mieszanych” uczuć na wieść o włączeniu do repertuaru „Iwanowa”. Otóż — z jednej strony — zdawałam sobie doskonale sprawę, że jako gatunek sztuki nie jest to pozycja ani dla „honoru domu”, ani dla kasy, z drugiej zaś — uważałam za zasadne i pożądane wystąpienie na lubelskiej scenie jednego z czołowych aktorów polskich — w roli jakby specjalnie dla niego stworzonej...

Ale dyrektor I. Gogolewski przyrzeczenia nie dotrzymał: przez długie tygodnie, które dzielił premierę od chwili pisania niniejszej relacji, znakomity nasz aktor Ignacy Gogolewski figurował tylko na afiszu, przyprawiając o frustrację wielbicieli swego talentu.

Otóż nie dość, że owo niedotrzymanie obietnicy przekreśliło rację bytu „Iwanowa” w bieżącym repertuaru Teatru im. J. Osterwy, na domiar złego ratuje ono niekorzystnie na sytuację Henryka Sobiecharta, który miał dublować dyrektora w roli tytułowej, a de facto gra już *now stop*. Nie należy wszak do przyjemności słyszeć, że widzowie zgłaszający się do kasy teatralnej dopytują się ustawicznie: „A kiedy będzie grał Gogolewski?”

I mają przecie rację: superzagadkowy Iwanow jest postacią odpowiadającą prawie wyłącznie dyspozycjom artystycznym Ignacego Gogolewskiego. Naszego utalentowanego, cenionego Sobiecharta wolałabym widzieć w innej roli i w innej sztuce. Mamy np. we wdzięcznej pamięci jego atrakcyjnego, pełnego młodzieńczego zapału, Cyda.

Kim jest Iwanow?

Czechow mówi w liście z października 1887 r.: *Przytęczało mi bowiem zuchwale marzenie — podsumować to wszystko, co dotąd zostało napisane na temat lamentujących, chorych na nostalgię ludzi, by w ten sposób położyć kres tej pisani.*

Sądze jednak, iż kresu nie położył. Ludzie ze skazą, trapieni przez spleen, Weltschmerz, taedium vitae rodzą się i będą się rodzić w różnych epokach, różnych ustrojach, w różnych punktach kuli ziemskiej. Choroba ich częstokroć nie ma żadnego odniesienia do warunków socjalnych, w jakich żyją. Ale powiem jeszcze coś innego: casus Iwanowa wydaje mi się nieco podejrzany; Iwanow to niewątpliwie przede wszystkim egocentryk — gotowa jestem uważać jego „zalamanie się” za wynik przerosła ambicji, ergo zawiedzionych nadziei. Iwanow, który bez przerwy się kaja, jest w gruncie rzeczy zakłamanym, tj. okłamał samego siebie, przeceniając swoje talenty i psychiczne możliwości (dałoby się tu dostrzec pewną analogię z Triplewem z „Mewy”, młodym niedoświadczonym „wielkim” pisarzem — i tu również rozterkę przecina strzał samobójczy).

Jak grać tego Iwanowa?

Podobno Kaczalów, grając w inscenizacji zrehabilitowanej przez Moskiewski Teatr Stanisławskiego

wkrótce po śmierci Czechowa, budował postać bardzo urozmaiconymi środkami artystycznymi; głos delikatny, wytworność nerwowych ruchów, pewna bardzo subtelnie naszkicowana poza, popisowość człowieka przyzwyczajonego do tego, że jest w centrum uwagi... Nagle, w chwilach rozdrażnienia, następowała radykalna przemiana: oczy mętniały, głos stawał się twardy, ruchy drobne, nieskoordynowane.

W lubelskim przedstawieniu Iwanow, rozmawiany na wzór dzisiejszej mody młodzieżowej, wywołuje niesmak od początku do końca: jest opryskliwy, brutalny, rzuca się na ludzi (zwulgaryzowana przez reżysera pierwsza scena z Borkinem), kiedy indziej, jest po prostu „nieartystycznie” nudny.

Nie wiem, w jakim stopniu odpowiada za inscenizację firmujący ją p. Ignacy Gogolewski, a w jakim stopniu — pracujący na co dzień z aktorami młody reżyser Zbigniew Wilkoński, ale faktem jest, że spektakl, chyba gwoli epatowania prowincjonalnych snobów, jest zachwaszczony wszelakimi ekstrawaganckimi efektami dawno zużytymi w pseudoawangardzie (borykanie się Iwanowa z dywanem podczas rozmowy z doktorem Lwowem, łażenie z „symbolicznie” rozdziawionym sakwojazem, usadowienie się przy kulisie na podłodze, z książką w ręku — niby tak Hamlet czy co?).

Proszę mi wybaczyć, lecz muszę powiedzieć otwarcie, że nadanie realistycznej przecie sztuce Czechowa ekspresjonistycznej faktury inscenizacyjnej — „wzbogacanie” jej wymyślnymi symbolami — wydaje mi się całkiem nie fair w stosunku do znakomitego klasyka. Kwestionuję potrzebę wystawienia jego słabszej sztuki, ale skoro się już tak stało, nie należy przynajmniej jej fałszować.

Nie tak dawno, bo w maju br., w związku z dziesięcioleciem Sceny Plastycznej Teatru Akademickiego KUL, zachwycalam się w „Kamień” świetno-ruchowo-plastycznymi kompozycjami Leszka Mądziaka. Istotnie pomysły jego dają urzekające efekty przy zastosowaniu do scenariuszy własnych. Przetransponowane na tekst Czechowa, oddziaływały nań wręcz destrukcyjnie. Nie o metafizyce bowiem tu chodzi, tylko o psychologię. Oweż, poszczególnie kombinacje promieni w spektaklu „Iwanowa” były bardzo ładne, ale w przeczerulonej na ogół przestrzeni scenicznej gubiły się postacie i słowa. Straciły też walor kostiumy zaprojektowane przez Lilię Jankowską.

Wbrew zastrzeżeniom, jakie mam do koncepcji inscenizatorskiej, harmonizująca z nią muzyka Jana A. P. Kaczmarka, już to przejmująco zgryzliwa, już to liryczna z odcieniem ironii (ten flecik bodaj pod monolog Iwanowa!) — zrobiła na mnie całkiem dobre wrażenie.

Cóż wreszcie o aktorach?

O Henryku Sobiecharcie była już mowa. Najbardziej mi się podobała w tym niefortunnym spektaklu Grażyna Klodnicka. Rola Anny-Sary jest świetnie ustawiona i wykonywana. Finalna scena aktu III budzi naprawdę zgrozę. „Normalnie” i z kulturą gra hrabiego Szabelskiego Jerzy Mędrkiewicz, który się nie dał „wciągnąć” w konwencję ekspresjonistyczną.

Oczywistym nieporozumieniem jest, jakby zapożyczona z mitologicznych metamorfóz, przemiana wyjątkowo poczciwego ziemianina Lebediewa, byłego absolwenta Moskiewskiego uniwersytetu — w ryczącego niedźwiedzia. Moje współczucie dla wykonawcy roli — Ludwika Paczyńskiego. Również błędnie ustawiono postać sircyka salonowego Borkina, którego Jan Krzyszcak (świetny w „Mętwie”) gra chyba siłą inercji jako króla Hyrkani!

Powierzenie odpowiedzialnej roli Saszy adeptce było naturalnie dużym ryzykiem, zwłaszcza przy tak kontrowersyjnej inscenizacji. Młoda egzaltowana dziewczyna ziemiańska w wykonaniu Agnieszki Sz. wraz z unowocześnieniem została zwulgaryzowana (dziwaczny pomysł reżyserski — kucanie na podłodze w czasie „obrony” Iwanowa przed złymi językami, albo niemal walka na pięści z Iwanowem w ostatnim akcie).

Do plusów spektaklu należy dobrze opracowana przez Marka Prażanowskiego postać doktora Lwowa, choć wygląda raczej na postać pozytywną, wbrew woli Czechowa, który nie lubił ludzi wygłaszających łatwe sady o innych.

Ciepła wdówka Babakina (Barbara Kozłarska) została przerysowana z woli reżysera. A dobrą grą Marii Karchowskiej (Zinaidy Lebediewej), tego Harpagona w apodnicy) oraz Marii Kaczkowskiej (rezydentka i swatka Awdotia) trudno było docenić w ciemnościach i wśród stłoczonych w grmadce drugoplanowych postaci, wykonujących różne sztuczne „ewolucje”.

Pantomima Jana Urygi tym razem mniej komunikatywna i nie à propos.

W sumie — tak udziwniona prezentacja „Iwanowa” nie daje pojęcia o dramaturgii Czechowa i nie służy szerzeniu kultury teatralnej.

## Nieznana dziś Żurakowska

**W**HISTORIA literatury dla dzieci i młodzieży Zofia Żurakowska (31.V.1887—31.V.1911) stała się postacią wybitną, a zarazem tragiczną. Obdarzona szczerze przez los — w czasie I wojny światowej utraciła dom, rodzinę, męża, zdrowie. Nie straciła jednakże wiary w życie, ufności i pogody. W opowiadaniu „Pójdziemy w świat” (1917) pisała: „Życie jest tak bogate, tak ogromne, że choćby nie wiem jak cierpiała, zawsze potrafię się ogarnąć na nowo, odświeżyć ci duszę i porzucić ją sobie”.

Radość życia odnalazła Żurakowska w pracy twórczej. W piśmie dla czytelników młodszego najwybredniejszego, ale zarazem najbardziej wzdziętego. Między innymi pisała, a pierwszą książką pt. „Skarby” (1913) była jed-

nakże oraz czasowe pobytu w sanatoriach (Arco, Merano, Zakopane) i pielgrzymowanie od wydawcy do wydawcy.

Na wartość tego pisarstwa poznała się Janina Moskiewska i właśnie Jakub Moskiewski został wydawcą wszystkich, zaledwie dwunastu, niewielkich objętościowo utworów autorki „Fetyssa”.

Zofia Żurakowska została wreszcie dostrzeżona, zdobyła uznanie, jej książki są recenzowane, wznawiane, wchodzi do lektury szkolnej. To o niej — wysoko ocenianej i twórczości — napisała Maria Dąbrowska: „Śmiem przypuszczać, że nadejdzie czas, kiedy Zofia Żurakowska zawaśnie sercami wszystkich, bez względu na to, do jakiej kategorii czytelników będą się zwracały jej utwory”; to ją w roku 1929 — przy stoliku w „Ziemiańskich” — owacyjnie witają Skamandryci. Do Zofii uśmiecha się znowa życie, jest zapraszana do stolicy, koresponduje z pisarzami. Staje się indywidualnością w doborze i kreowaniu tematu, w artystycznej organizacji języka, nawet w sposobie bycia i ubierania się, co — jak podkreślała Zofia Starowieska-Moskiewska — czyniła z „ową najkosztowniejszą prostotą”.

Niestety śmierć przecwała twórczość Żurakowskiej, nadciągając w Rabce, gdzie też pisarkę pochowano.

Pisarstwo jej wypadła uznać za zamknięte, choć było w pisarstwo zaledwie rozkwitające. Debiut powieściowy Zofii przypadał — jak wspomniano — na rok 1923, w maju 1931 już nie żyła.

W pięć lat po tej śmierci napisała snowa Maria Dąbrowska: Żurakowska była mi w rodzinie pisarskiej najbliższą, najbardziej troskliwą, duchem, sercem, losom, srokiem osobistym i artystycznym”.

Niejakiemu uzupełnieniu skromnego objętościowo dzieła literackiego autorki „Romana i dziewczęta” są również okrucy opublikowanego przez Jerzego Ficowskiego na łamach „Twórczości” (1978) jej dzienniczka. Jak i rękopisy zachowanych listów. Ogłaszając fragmenty osalonego dzienniczka, napisał Ficowski słowa, które w 20-lecie śmierci pisarki nabrały mocy zobowiązującej: „Pozostawiła po sobie kilka świetnych kszatek dla młodzieży, których młodzież nie zna, jako że od wielu lat nikt ich nie wznawia”.

Jolanta Kowalczykówna



# PODSTAWY SPOŁECZNE

**P**ROBLEMATYKA praw i obowiązków obywatelskich wzbudza od dawna zainteresowanie opinii publicznej i doktryny, ale szczególnie wzrost doclekań naukowych nad statem prawnopolitycznym jednostki w państwie i społeczeństwie obserwujemy w ostatnim pięćleciu, tj. po zakończeniu KBWE w Helsinkach i podpisaniu przez jej uczestników Aktu Końcowego (traktującego m. in. o prawach i wolnościach obywatelskich), ratyfikowaniu przez PRL w marcu 1977 r. Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, a także Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych, oraz po dokonaniu w lutym 1976 r. nowelizacji Konstytucji PRL, modyfikującej przepisy o prawach i obowiązkach obywateli, poszerzającej katalog praw i wolności obywatelskich w państwie socjalistycznym.

Wydarzenia ostatnich miesięcy w naszym kraju potwierdzają, że zagadnienia te jawią się przed Polakami w coraz to jaskrawszej postaci, zmuszając nas do refleksji na ten temat. Nie od rzeczy więc chyba będzie w kontekście powyższego przypomnieć bardzo cenną książkę prof. Feliksa Siemienińskiego — „Podstawowe wolności, prawa i obowiązki obywateli PRL” (Warszawa, PWN, 1979).

Praca ta, napisana ze stanowiska nauk prawnych oraz politologii, ma wyraźny naukowy charakter i zawiera dużo cennych rozważań teoretycznych. Analizę podstawowych wolności i praw obywatelskich oparł autor o współcześnie obowiązującą konstytucję PRL oraz przepisy ustaw zwykłych, uwzględniając przy tym zestaw publikacji poświęconych tej problematyce, nierzadko polemizując z poglądami autorów w nich reprezentowanymi.

Rozpatrując wpływ zasad ustrojowych oraz ogólnych zasad konstytucji na zakres podstawowych wolności i praw obywateli, autor konstatuje m. in., że w praktyce „naczelna zasada ustrojowa, jaką jest suwerenność ludu pracującego miast i wsi (zasada zasad), wyraża się nie gdzie indziej, jak właśnie w realizacji podstawowych wolności i praw obywateli należących do klas pracujących. Władza ludu pracującego realizowana jest [...] o tyle, o ile w określonych warunkach następuje postęp w realizacji podstawowych interesów ludzi pracy, a zatem ich wolności i praw”.

Całokształt podstawowych wolności i praw obywatelskich ze względu na ich treść autor dzieli na trzy grupy, przy czym szczególnie eksponuje podstawowe wolności obywatelskie, omawiając je przed problematyką praw socjalnych oraz praw politycznych, a stanowisko swe uzasadnia szczególnym znaczeniem wolności obywatelskich z punktu widzenia realizacji, wspomnianej już, konstytucyjnej zasady suwe-

renności ludu pracującego miast i wsi. Ich zachowanie jest — jak stwierdza — pierwszym i najbardziej istotnym warunkiem realizacji tej zasady. Argumentacja ta może nasuwać pewne wątpliwości, bowiem w dalszych swych wywodach autor stwierdza, że „suwerenność ludu pracującego w państwie socjalistycznym istnieje o tyle i w takim zakresie, o ile i w jakim zakresie istnieją też podstawowe prawa polityczne, jak też realna możliwość korzystania z nich przez obywateli [...] jako ludzi pracy”.

W rozważaniach dotyczących wolności obywatelskich bardzo interesujące i nowatorskie jest ujęcie przez autora niezwykle ważnej kwestii własności indywidualnej i wiążącej się z tym nienaruszalności mienia. Sprawa ta była traktowana ambiwalentnie przez władze polskie minionego dziesięciolecia. W ostatnich miesiącach najwyższe władze polityczne i administracyjne PRL deklarują wolę przestrzegania tych praw. Dowodem na to niech będzie sprawa gwarancji indywidualnej własności rodzinnej i ściśle łącząca się z nią decyzja rejestracji związku zawodowego rolników indywidualnych.

O ile inni teoretycy prawa konstytucyjnego zaliczają nienaruszalność mienia do grupy praw obywatelskich ze sfery społeczno-ekonomicznej, o tyle F. Siemieniński (biorąc za podstawę art. 87 ust. 3 Konstytucji PRL) zalicza wspomniane uprawnienie do podstawowych wolności. Analogicznie do sfery wolności osobistych zalicza również nienaruszalność mieszkania oraz tajemnicę korespondencji.

Charakteryzując prawa obywatelskie, autor wskazuje na odmienną interpretację kwestii socjalnych na gruncie konstytucjonalizmu burżuazyjnego i socjalistycznego, a mianowicie: kwestie, które w konstytucjach socjalistycznych uregulowane są w kategoriach praw obywatelskich, w konstytucjach burżuazyjnych są deklarowane w kategoriach wolności obywatelskich. Taka różnica związków jest konsekwencją odmiennych celów ustrojowych, jakie stawiają sobie oba typy państw.

Możliwość realizacji praw obywatelskich, zwłaszcza socjalnych, jest ściśle uzależniona od poziomu osiągnięć w rozwoju gospodarczym kraju. Ostatecznie o stopniu i zakresie realizacji w praktyce, zadeklarowanych w konstytucji norm, określających wolności i prawa obywateli, decydują gwarancje materialne i formalne. Niemalą rolę w tym względzie przypisuje autor postawie partii komunistycznej, sprawującej w państwie socjalistycznym kierowniczą rolę w stosunku do innych or-

ganizacji społecznych, jak i względem organów państwowych. Jest partia „główną gwarantką stosowania postanowień konstytucji w praktyce, w tym także dotyczących podstawowych wolności i praw obywatelskich. W systemie politycznym, w którym nie ma legalnej opozycji, demokratyzm życia państwowego w dużej mierze jest prostą konsekwencją istniejącego w danej chwili stanu demokracji wewnątrzpartyjnej”.

W warunkach atrofii demokracji wewnątrzpartyjnej, jaką obserwowaliśmy w minionym dziesięcioleciu, postawa PZPR i jej rola została wypaczona. Rzucone przez Edwarda Gierka hasło, aby partia była partią, a rząd — rządem, stało się tylko śmiesznym sloganem, namiętne i bezmyślnie powtarzane przez machinę propagandową. W praktyce nastąpiło rozwodnienie granic między władzą partyjną i administracyjną w wyniku kumulowania funkcji (np. sekretarzy organizacji partyjnych i przewodniczących rad narodowych). Sejm zaś, który dziś systematycznie zaczyna sięgać po swe uprawnienia ustawowe (i nadrzędność którego w stosunku do innych organów państwowych jest podstawową gwarancją prawną realizacji praw i wolności obywatelskich), wówczas pełnił — jak lapidarnie określa poseł Karol Małcużyński — rolę parlamentu klaszczącego. Podporządkowanie NIK Prezesowi Rady Ministrów nowelą konstytucyjną z 1976 r. pozwalało faktycznie na podejmowanie przez rząd woluntarystycznych decyzji, które okazały się zubożające dla kraju i doprowadziły do zupełnej degeneracji.

Z punktu widzenia zabezpieczenia pozycji obywateli wobec państwa doniosłą rolę spełniać powinny prawa polityczne. Stanowią one — z jednej strony — osobną grupę praw, których pełna realizacja ściśle wiąże się z doskonaleniem demokracji socjalistycznej (i które stwarzają zarazem możliwość działania obywateli jako współgospodarzy), z drugiej strony — pełnią funkcję gwarancji wolności i praw socjalnych.

Czytając dziś tę cenną pracę teoretyczną, nie sposób nie wysnuć jednego generalnego i bardzo ważnego wniosku: jak wielką przepaść istniała między teorią życia społeczno-politycznego, a praktyką! Miejszy nadzieję, że zapoczątkowany po sierpniu ubiegłego roku proces odnowy (m. in. ponowne podporządkowanie NIK Sejmowi), stworzy pełną gwarancję realizacji praw i wolności obywatelskich i że w przyszłości nie dojdzie do ponownych deformacji w tej dziedzinie.

Alina Wegiera-Trochimiak

## LISTY DO KAMENY

### STRZELANIE DO DZIENNIKARZA

Wycinek z „Kamenu” z polemicznym listem dyrektora RPN Zdzisława Kotuły otrzymałem 6 maja br., niestety tak długo przysyłała wędrowała do Köln, niespełna 1500 km na zachód od Lublina; kiedy więc dotrze i zostanie wydrukowana — trudno przewidzieć. To zresztą bez większego znaczenia.

Wedle dyrektora RPN, nie stało się nic niewłaściwego w fakcie że jego zastępca, bądź co bądź jednak osoba powołana do ochrony przyrody, osobiście „odstrzelił” parędziesiąt procent zwierzęcy (za kilkadziesiąt tysięcy złotych). Dyrektorowi nie są znane również fakty niezgodnego z zasadami dokonywania redukcji zwierzęcy. Tymczasem nawet dziecko w Zwierzyńcu mogłoby pana dyrektora wyprowadzić z niewiedzy; nie mówiąc już o tym, że wystarczył przeczytać protokoły pokontrolne i porozmawiać z inspektorem.

Rozumiem, że najprościej powołać się na przepisy, zastąpić paragrafami i oświadczyć, że wszystko odbywało się zgodnie z nimi. Nie wszystko, niestety. Dowiodła tego ponad wszelką wątpliwość kontrola OZDPiKF, z której wyników, jak słusznie zauważa Redakcja, również korzystałem. Choć nie tylko. Korzystałem także z roz-

mów przeprowadzonych w Zwierzyńcu i Zamościu oraz w Lublinie, miałem okazję wymienić na omawiany temat poglądy z przedstawicielem Woj. Komisji Kontroli Partyjnej w Zamościu. W swoim raporcie podawałem tylko fakty. Stwierdzone przeze mnie i potwierdzone potem lub przedem przez komisję oraz kontrolę.

Natomiast osobiście uważam nadal, że polowanie niezgodne z zasadami łowiectwa jest ciężkim wykroczeniem (przewinieniem?) w odniesieniu do myśliwego, a jeszcze cięższym, gdy przytrafi się zastępcy dyrektora parku narodowego.

St. Harasimiuk

„Polityka” (nr 16) w rubryce „Coś z życia”, opierając się na artykule St. Harasimiuka „Strzały w rezerwacie” („Kamena” nr 7), zamieściła notatkę dotyczącą połowa w Roztoczańskim Parku Narodowym. Notatką ta począł się zniechęcać dyrektor RPN, Zdzisław Kotuła, i zaprotestował („Polityka” nr 21, „Coś z życia”). Zastępcy dyr. Kotuły dla RPN znamy i cenimy, czemu daliśmy ongiś wyraz na naszych łamach. Artykuł Harasimiuka bezpośrednio, wyraźnie i jednoznacznie dotyczył zastępcy dyrektora RPN (łącznie z wymienieniem nazwiska), co autor rubryki „Coś z życia” był łaskaw przesyłać. Należy dokładniej czytać artykuły, które się relacjonują.

RED.

### DR LUKASZ M. MODROŃ CZYLI TUPTUSIOLOGIA STOSOWANA

W 10 numerze „Kamenu” z roku bieżącego ukazała się dziwna korespondencja (s. 12: „Pisarze? lubelscy?”), której dominującą cechą — oprócz sadyzmu onomastycznego — jest infantylizm. Jej autor zdaje się nie wiedzieć o warunkach rea-

lizacji publikacji przez tzw. wydawców nieprofesjonalnych, o cenzurze, braku papieru, możliwościach (ściślej: niemożliwościach) poligraficznych, kompetencjach instytucji sprawczej i redaktora wydawnictwa, adresacie publikacji.

Po zmianie pierwotnej koncepcji słownika (miał objąć wszystkich aktualnych członków ZLP związanych z Lubelszczyzną i liczyć ponad 20 ark. wyd.), jego objętość została bardzo ograniczona (wyłącznie do członków lubelskiego Oddziału ZLP) i ściśle limitowana, co stało się prokrustowym łożem dla zawartości, szczególnie ze względu na materiał bibliograficzny. Tekst autorski słownika (z przedmową i wstępem) został przekazany zleceńodawcy opracowania w końcu 1978 r. Zawierał on bibliografię całego piśmiennictwa (druk i zwarte) autorów będących członkami Oddziału ZLP w Lublinie, jak to praktykuje m. in. klasyczna bibliografia literatury polskiej w swej zakwalifikowanej edycji — „Nowy Korbut”, zatem eliminacji pozycji pozalubelskich (i nie tylko) nie dokonywał autor słownika. Od tego momentu o losach publikacji decydowali: instytucja sprawcza i redaktor. Poważne opóźnienie w realizacji wydawniczej tytułu zostało spowodowane — delikatnie mówiąc — zakwestionowaniem go przez cenzurę. Po uzyskaniu jej zezwolenia autor zwracał się o umożliwienie aktualizacji tekstu, z rezultatem wiadomym. W tym zakresie życzenia korespondenta i usiłowania autora są zbędne, więc adresatem uwag musi być ktoś trzeci.

Pozostałe zarzuty wynikają z niekompetencji korespondenta, głównie z braku doświadczenia bibliograficznego, ale nie tylko. Korespondent miał w ręku słownik, była to jednak lektura fragmentaryczna i pobieżna, skoro na początku przeczytał zaledwie dwa akapity przedmowy, w „środku” zauważył kilka nazwisk i pozycji bibliograficznych, a w końcu nie potrafił zliczyć do stu (wy-

kaz członków innych oddziałów ZLP zawiera nie kilkadziesiąt lecz sto kilkanaście nazwisk). Także „sama radość” ogarnia, kiedy czyta się pouczenia, na czym musi być oparta dobra bibliografia, co jest niepotrzebne w wykazie skrótów, dywagacje semantyczno-stylistyczne na temat tytułu publikacji, wyrwane z kontekstu przedmowy wyrażenia. Panie L. M. Modroń, bardzo pan się spóźnił ze swoją krytyką, gdyż mamy już znakomity IBL-owski „Słownik współczesnych pisarzy polskich”, znaną serię małych słowników pisarzy, popularny informator L. M. Bartelskiego o podobnym do inkryminowanego przez pana tytule, nie mówiąc o „Pisarzach olsztyńskich”, gdańskich, Wielkopolski itd. Pomnij też pan, iż był pewien „poeta lubelski”, często tak o sobie mówił, a nie raz i pisał, któremu nie przeszkodziło to zostać poetą polskim i w ogóle światowym poetą. Natomiast tak cytować, jak pan to zrobił z czterema wyrazami ze zdania w drugim akapicie przedmowy nie można, o czym wiedzą nawet studenci. Niepotrzebnie nonszalanec w stosunku do słownika (np. głośno insynuacje dotyczące wstępu) i jego autora przeniósł pan również na kilku pisarzy i Naczelnego „Kamenu”, któremu zleca pan przeproszenie za swoje winy. Może to wygodne, ale na pewno nieeleganckie, a czy przyzwolite? Mimo wszystko wzbudza pan humanitarne uczucia, jako człowiek słaby, by nie rzec kaleki, wszak podiera się pan tytułem, do którego nie ma pan prawa, kryje się pan w skorupie pseudonimu. Dlatego kończę życzeniem, aby ktoś na najbliższe imieniny podarował panu w upominku, rzekomy purysto, słownik ortograficzny, wtedy będzie pan wiedział, jak się pisze przymiotnik „bibliograficzny”, i nie dezinformował ortograficznie (i nie tylko) czytelników „Kamenu”.

Jan Smolarz

## KRONIKA

• Ilustracje i grafiki książkowe m. in. Picassa, Legera, Chagalla, Miro, Gromaire'a obejmują (do końca czerwca) w Muzeum Okręgowym w Lublinie. Wystawę, na której zgromadzono około 1000 prac, otworzył 19 maja ambasador Francji w PRL, Jacques Dupuy. Ciekawia nas opinia czytelników o prezentowanej twórczości.

• Średnia płaca w przemyśle w województwie lubelskim, obliczona na podstawie zarobków w czterech minionych miesiącach roku, przekroczyła 6250 zł. Pracownicy zarabiają znacznie więcej, niż przed rokiem, ale produkcja przemysłowa na ogół i wyraźnie spadła, bo brakuje surowców, energii, części. Prognozy na przyszłość — równie kiepskie.

• Z braku środków odwołano Dni Lublina. Odbyły się natomiast Dni Nałęczowa, a w ich ramach — X Divertimento z udziałem wybitnych muzyków i wokalistów. Aktorzy recytowali wiersze polskich poetów.

• Były przewodniczący PKWN i prelder dwóch kolejnych rządów tymczasowych RP, Edward Osóbka-Morawski, spotkał się w połowie maja z inteligencją zamojską. Ciekawi jesteśmy, czy i kiedy ukażą się wspomnienia wybitnego działacza PPS?

• Niewielu milicjantów patroluje Lublin w nocy, więc mnożą się włamania i kradzieże samochodów. Komenda wojewódzka tłumaczy sprawę brakiem odpowiedniej liczby funkcjonariuszy. W Nałęczowie tuberculoza odrażała się, że „zrobiło to samo, co w Otwocku”. Iżę przy okazji milicjanta, który próbował uspokoić grupę awanturniczących się wyrostków.

• I miejsce w ogólnopolskim konkursie chórów szkolnych w Warszawie zajął zespół „Szczygielki” ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Poniatowej, prowadzony przez Danutę Dantelwicz. Nie pierwszy to sukces chóru, istniejącego w mieście niewiel-

kim i pozbawionym poważniejszej tradycji kulturalnej. Nasze gratulacje.

• Jerzy Żurawski, konserwator zabytków Kazimierza Dolnego i okolicy, w wywiadzie prasowym: — W bieżącym roku na odbudowę i utrzymanie Kazimierza otrzymałem 4,5 mln złotych. Jest to suma zbyt mała, aby można było zrobić dużo. Możliwości kraju są jednak nadal niewielkie i chyba należy jeszcze poczekać na lepsze czasy dla Kazimierza. Oby nie przyszły one jednak za późno.

• Prokuratura wojewódzka w Lublinie rozpoczęła śledztwo w sprawie marnotrawstwa i nadużyć, jakie popełniono w PEMot. Straty szacuje się na grube miliony złotych.

• Od godziny 3 w nocy do 10 PKS nie zdołała zabezpieczyć 10 ton paczkowanego cukru, który wysypał się na al. Krańciska z wywróconej przyczepy przedsiębiorstwa. W miarę swoich możliwości ładunkiem zapiekowała się milicja, choć weale nie musiała tego robić. Prawdopodobnie 5 ton cukru poszło na marne (padał deszcz).

• 17 maja w kazimierskim Muzeum Sztuki Złotniczej otwarto interesującą wystawę artystów zajmujących się tym unikalnym rzemiosłem.

• Tomaszowski Towarzystwo Regionalne oraz Instytut Historii UMCS przygotowały sesję naukową z okazji 360-lecia Tomaszowa Lubelskiego, założonego pod nazwą Jelitowa przez kanclerza Jana Zamoyskiego.

• Od 21 maja do 29 czerwca w sklepach i restauracjach Lublina alkohol sprzedaje się po godz. 15. Przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich informują, że celem tego ograniczenia jest nakłonienie sporej grupy obywateli do roboty podczas godzin pracy i spokoju po jej zakończeniu.

• 23 maja (wolna sobota) podczas akcji zbierania makulatury na dzieła wieszczą zabrakło talonów, gwarantujących nabycie książek w przyszłości, dobrej organizacji i szacunku dla społecznego pragnienia literatury, które okazało się wielkie. Po kilka godzin ludzie stercieli w długich kolejkach do ruchomych punktów skupu, wielu tylko po to, by wrócić do domu z 10 lub więcej kilogramami papieru. Tak przynajmniej było w kilku miejscach Lublina. Mamy my talent do marnowania najlepszych inicjatyw.



**Cytaty z myślenia**

**W** POŁOWIE maja odbyła się V Studencka Wiosna Plastyczna 81, podczas której otwarto kilka wystaw indywidualnych, wyświetlono filmy o twórczości wybitnych artystów starszego i średniego pokolenia, obejrzano spektakl jednoosobowego Teatru „Ognia i Papieru” Grzegorza Kwiecińskiego, urządzono giełdę prac malarskich i graficznych i coś jeszcze, czego niestety nie zdołałem zobaczyć. Niektóre wystąpienia studentów wydały mi się interesujące, inne zakłopotaly mnie jakby, ale nie jest to w końcu tak ważne wobec samego faktu istnienia w Lublinie imprezy, która zyskała już pewną tradycję. Nigdy zresztą nie próbowałem publicznie oceniać twórczości tak młodej,

niepewnej przecież swoich racji, bezwiednie ulegającej różnym presjom z pola sztuki dojrzałej. Raz tylko odstąpiłem od tej zasady, omawiając działalność uniwersyteckiej grupy „A.S.” — ale ci chłopcy, w większości wychowankowie Mariana Bogusza, wyjątkowo szybko i ostro weszli do znanych lub w miarę poważnych galerii wystawowych kraju, sensownie korzystając z mecenatu swojego niesłychanego profesora. Dziś grupa nie istnieje, ale niektórzy z jej inicjatorów (np. Zenon Kruszewski) doskonale dają sobie radę w samodzielnym życiu artystycznym. Nie przypadkowo więc zainteresowałem się „A.S.”, która nazwę swoją wzięła z liter umieszczonych na samochodowych tablicach rejestracyjnych miasta Łomży i okolicy.

Na marginesie obecnej imprezy studenckiej chciałbym jeszcze jedną rzecz przypomnieć, w przekonaniu, że jej sens do dziś nie stracił aktualności. Otóż dwa lata temu poprosiłem słuchaczy IV roku wychowania plastycznego UMCS o krótkie wypowiedzi na temat, jak rozumieją społeczność obecność artysty. W grupie tej znajdowali się właśnie członkowie „A.S.”. Oto kilka fragmentów ze studenckich opinii:

„Współczesny świat z jego kultem specjalizacji naukowych, wielorakich tendencji w sztuce, zdeintegrowany

świat wielu „prawd” wymaga od dzisiejszego artysty poszukiwania w chaosie form jakiejś ogólnej prawdy, czegoś, co pozwoliłoby na uporządkowanie sfery jego życia psychicznego, czegoś integrującego osobowość człowieka”.

„We współczesnym świecie szukamy człowieka. Największą wartością dla człowieka jest doświadczenie artysty, które powinien nam przekazywać zwykłym, ludzkim, szczerym językiem. Oczekujemy od artysty sztuki z ludzką twarzą”.

„Artysta nie musi być społecznikiem, nie musi tworzyć wartości użytkowych; skoro jest jednostką społeczną, nie może wyjść poza społeczeństwo. Jego osobowość stapia się z „osobowością” społeczną, a konstruktywnych wartości nabiera przy wyeliminowaniu postaw konformistycznych wobec wymagań kultury popularnej, masowej”.

„Sama twórczość jest już wyrazem zaangażowania. Artysta nie tworzy tylko dla siebie; zawsze istnieją odbiorcy jego twórczości. I to właśnie ma charakter społeczny i świadczy o zaangażowaniu społecznym artystów”.

„Współczesny artysta coraz rzadziej i coraz mniej namiętnie wyraża swoją indywidualność, zajmując postawę rejestratora faktów. Być może postawa ta, najbardziej naturalna w miej-

scu styku dążeń i ideałów indywidualnych i nie zawsze z nimi zgodnych wymagań masowych, jest właściwą postawą twórczą”.

„Artysta wobec problemów świata współczesnego ma zupełnie inną misję do spełnienia w układzie społecznym, niż to miało miejsce w epokach minionych. [...] Sztuka staje się pretekstem, dzieło — etapem przeżywania. Artysta nie walczy tylko o akceptację swojej sztuki, lecz o idee w niej zawarte. Dąży do przemiany świata poprzez negację określonych zjawisk społecznych, politycznych, pozycji sztuki w świecie dzisiejszym”.

Z tych kilku cytatów trudno wyciągać ogólniejsze wnioski. Ważniejsze zresztą, że ich autorzy, ludzie niewiele po dwudziestce, posiadali dość jasno określone poglądy. Dodajmy wszakże, że w większości wypowiedzi społeczność obecność artysty kojarzona po prostu z jego działalnością w obrębie plastyki użytkowej, jakby nie dostrzegając miejsca dla sztuki — skąpionej refleksji nad ontologią ludzkiej egzystencji. I nad tym należałoby się zastanowić.

Podobnie jak nad nieporadną organizacją tegorocznej Wiosny Plastycznej.

IJK

**EKRAN I WIDZ**

**Inny wymiar**

**T**RZEBA było aż strzałów na Placu Świętego Piotra w Rzymie, aby w polskiej telewizji mógł się ukazać film o Janie Pawle II, nakręcony zresztą przez naszą TV już ponad dwa lata temu. Film Krystiana Przysieckiego i Czesława Duraja, pokazany w Dzienniku Telewizyjnym 14 maja, powstał w zespole Studio 2; opatrzony jest etykietą: „Poltel 1978” i wyświetlany był od tamtej pory w wielu krajach świata — tylko nie u nas. „Ziemia rodzinna” — tak brzmi tytuł — zyskała nie tylko ogromne powodzenie wśród zagranicznych widzów, ale uhonorowana też została jedną z poważnych, liczących się nagród włoskich; u nas mało kto wiedział nie tylko o przyznaniu nagrody, ale i w ogóle o istnieniu tego filmu.

20 maja oglądaliśmy po dzienniku TV film zrealizowany przez Barbarę Dyksińską-Tryc i Ryszarda Krajkę: „General Sikorski — wspomnienie i legenda”. Trzeba było czekać czterdzieści lat bez mała, aby wreszcie, w ra-

mach obchodów stulecia urodzin wielkiego Polaka, wybitnego męża stanu i patrioty, mogły się w naszym głównym środku masowego przekazu pojawić w takiej ilości i w takim zestawie zdjęcia i filmy dotyczące jednego z najbardziej ważnych momentów naszej historii najnowszej.

Dobrze, że filmy o Papieżu i o Generale mieliśmy wreszcie możliwość obejrzeć; źle — że mogliśmy je oglądać dopiero teraz.

Ani „Ziemia rodzinna”, ani „General Sikorski — wspomnienie i legenda” nie są z pewnością szczytami polskiego dokumentalnego; ich twórcy postawili przede wszystkim na stronę „informacyjną”, na pokazanie jak największej liczby faktów z życia i działalności swych bohaterów, na możliwie precyzyjne oddanie istoty ich osobowości, ich wymiaru. Ale właśnie o to chodziło; o ukazanie pewnej prawdy o ludziach wtopionych w historię i zarazem współtworzących ją, a nie o takie czy inne sprawy formalne. Przy czym bezsprzecznie wyżej cenie „Ziemia rodzinna”, bo ustrzegła się tej „dziennikarskości”, ponad którą — mimo wszystko — nie potrafił się wznieść film o generale Sikorskim.

Przysiecki i Duraj zrealizowali swój film o Janie Pawle II — z ogromną kulturą. Poruszając się w temacie, było nie było — „religijnym”, potrafili uniknąć dewocyjności, nie poszli na płaskie chwytliwy, obliczone na najszerszą widownię; przy prezentowaniu najmłodszych lat życia Karola Wojtyły ustrzegli się pułapki rzewności. „Ziemia rodzinna” jest zbudowana na samej i bardzo często wykorzystywanej w telewizji zasadzie opowieści różnych

osób związanych z bohaterem filmu więzami rodzinnymi, zawodowymi bądź ideowymi (ale niby jaki inny pomysł można było przy tego rodzaju temacie zastosować?); zasługa „artystyczna” autorów w tym, że potrafili z tych opowieści złożyć całość klarowną, przekonującą, o wielkim ciężarze gatunkowym. Jawi się przede wszystkim z „Ziemi rodzinnej” ogromna miłość Karola Wojtyły do Polski, do narodu, którego jest obywatelem, do jego tradycji historycznej i kulturowej. Charakter i osobowość obecnego papieża Jana Pawła II oddaje najlepiej sposób wypowiedziania się o nim ludzi mu bliskich: szkolnych kolegów, przyjaciół uniwersyteckich, wykładowców seminaryjnych, współpracowników; otóż nie ma w tych wypowiedziach krzty uniżoności. Niezależnie od stopnia wykształcenia czy wysokości pozycji społecznej osoby relacjonującej. Musiał być Karol Wojtyła bardzo bezpośredni, ludzki, zwyczajny — przy całej swej niezwykłości — skoro nawet fakt objęcia przezeń Stolicy Piotrowej nie odrealnił go w oczach „zwyczajnych” ludzi. Ale chyba przede wszystkim „Ziemia rodzinna” to wielka lekcja KULTURY. Kultury myśli, słowa, tradycji — polskiej, narodowej, a jednocześnie światowej; Kościoła.

Filmowi Kraski i Dyksińskiej-Tryc mam do zarzucenia zbyt uproszczony w pierwszej części komentarz polityczny. Jakże inaczej jawi się Sikorski (tu odwołam się — „pro domo sua” — do

10-nru „Kamery”) w wypowiedzi prof. Wapińskiego!

Najsilniejszą stroną filmu jest dokument, szczególnie nagrania przemówień radiowych Generała we Francji i w Wielkiej Brytanii z czasu II wojny światowej oraz pierwszy raz u nas prezentowany fragment filmu z ostatniej fazy uroczystego pogrzebu: złożenia trumny ze zwłokami Władysława Sikorskiego do grobu na cmentarzu polskich lotników w Newark w Anglii. Za trumną idzie żona Władysława Sikorskiego, prowadzona przez gen. Sosnkowskiego i premiera Mikołajczyka, który wygłasza nad trumną przemówienie pożegnalne. Ostatnia modlitwa biskupa połowego „ks. Gawliny, Lotnicy opuszczają trumnę do grobu. Rozlegają się dźwięki hymnu narodowego. „Pierwszą grudkę ziemi — brzmia słowa filmowego komentatora sprzed lat — wrzuciła pani Sikorska, a następnie: generał Haller — za prezydenta i generał Sosnkowski”...

Dlaczego film, nakręcony wówczas przez operatora Franciszka Ożgę, przybyłego samorzutnie aż z dalekich Stanów Zjednoczonych na pola bitwy Europy, ukazuje się u nas dopiero teraz? Kto jest winien limitowania naszej historii? Jaki jest sens w przykrawaniu jednostek wybitnych do pseudozwyczajnego wymiaru? Dlaczego tak często starano się u nas spauperyzować wzniosłość, wielkość?

Oto „naiwne” pytania pod rozważkę po majowych projekcjach „Ziemi rodzinnej” oraz „wspomnień i legend” o generale Sikorskim.

M.D.

**WYWIAD**

Praktykant wchodzi do gabinetu naczelnego:  
— Panie redaktorze, chciałbym przeprowadzić rozmowę.  
— No to piszcie, piszcie. Cieszę się, że młody adept sztuki dziennikarskiej sam wyszukuje sobie temat. A z kim to chcielibyście porozmawiać?  
— Z tow. ...  
— Czy wyszcie, to znaczy chciałem zapytać, czy wiecie kto to jest?  
— Oczywiście.  
— Kolego! Towarzyszu! Jesteście młodzi, nie znacie jeszcze pułapek tego zawodu. Nie poradzicie sobie. Chciałbym spróbować.  
— A o co chcielibyście zapytać tow. ...?  
— Mam przygotowanych kilka pytań.  
— Pokażcie.  
— ...  
— No tak. Co chcecie przez to osiągnąć?  
— Przybliżyć czytelnikowi jednego z tych ludzi, którzy decydują w jakiś sposób o naszym życiu.

— I co, sądzicie, że dojdziecie do tego, pytając o zastrzeżony numer telefonu?  
— Numery do królowej Elżbiety i członków jej rodziny umieszczone są w ogólnie dostępnej książce telefonicznej.  
— I królową Anglii zapytalibyście, ile zarabia?  
— Po co? Tam oświadczenia podatkowe wybitnych osobistości publikuje się regularnie. Ja zapytałbym, ile ma służby.  
— No widzicie. Tow. ... nie jest przecież królową Anglii. Proponuję również, żebyście z pytaniem o letnią rezydencję poczekali do swojej wizyty w Buckingham Palace.  
— Nie ma sensu. Znam odpowiedź. W Wielkiej Brytanii koszty utrzymania rezydencji dostojników pokrywają podatnicy.

— Cóż, Anglia to bogaty kraj, stać ich na to.  
— Niestety.  
— A skąd wam przyszło do głowy, że tow. ... ma prywatny samolot?  
— Jeżeli z samolotu o stu pięćdziesięciu miejscach wysiada dziesięć osób...  
— Uważacie, że tow. ... lecąc z wizytą oficjalną, kiedy czeka go uroczyste powitanie, może wychodzić razem z innymi pasażerami. Cóż by sobie o nas tam pomyśleli!  
— Kilku zachodnich polityków przylatywało do nas samolotami rejsowymi.  
— Nie rozumiecie, że to wszystko chwytliwy wyborcze. Oni, żeby utrzymać się przy władzy, ciągle muszą zdobywać sobie popularność, sięgając nawet do takich tanich chwytów.

— Ma pan, rację. To jest tanie...  
— Znowu pytanie dla królowej! Co wy tu o dynastiach? Czyżbyście uważali, że rodzina tow. ... nie mogła dojść do czegoś dzięki własnej inteligencji, zdolnościom i ambicjom?  
— Zgoda. Mogę zrezygnować z tego pytania.  
— A kto wam znów naopowiadał, że mieszkanie tow. ... to małe muzeum?  
— Ludzie tak mówią.  
— Plotkami nie będziemy nikomu zawracać głowy. Moglibyśmy narazić się na zarzut oszczerstwa. W końcu kilka starych sztychów i parę sztuk zabytkowej broni każdy może mieć w domu. A co się tyczy wywiadu, no cóż... Przekonałście się sami, że pytania nie były najlepsze. Ale skoro tak bardzo chcecie porozmawiać z tow. ... to przyjdźcie jutro i wspólnie ułożymy kilka pytań...

Andrzej Szargan

**Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.**  
Redaguje zespół: Maria Bechcysz-Kudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Dererki, Tadeusz Jasinski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłozza.  
Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 18 zł. Prenumerata za oceanem wysyła się za granicę przy pomocy RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-058 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1152-201645-139-II; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 80 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.  
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 335-30  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Umiecka 4. PL 155N 9137-1198. Nr indeksu 35291. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1  
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 235-93, sekretarz redakcji 213-93, dział publicystyki i literacki 213-35.  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.  
N-7.